

W. SOKORSKI — O mobilizację działaczy kulturalnych; H. KIRCHNER — Zycie pisarza;
R. HŁADKO — Powieść o współpracy z Iranem; J. ADAMCZYK — Niech przeczyta młodzież;
J. KRAUSOWA — Ctery kaszubskie pokolenia; L. MAJ — O nowych ludziach;
W. PALIK — Wśród ceramików; R. RADUSZEWSKI — Sztuka ożyła aktyw;
R. SZARANOWICZ — Titowska Jugostawia — raj dla kulaków; T. ORLEWICZ — Węgry wczoraj i dziś;
H. WORCELL — Razem do walki o nowe życie; E. MARTUSZEWSKI Gospodarcze zaplecze Watykanu.

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dnia 28 czerwca 1953 r.

Nr 26 (412)

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Rosenbergowie

Którzy jak Wy kochają prawdę i małe dzieci,
Którzy jak Wy walczą twarzą o jutro spokojne
I znając miłość, krzywdy i ból idą naprzeciw
Zbrodniarzom, próbującym rozpętać nową wojnę.

Gdy Ethel przytula do piersi małego synka,
Milion matek osłania dziecko biciem serc swoich,
Gdy Juliusz przemierza ponure lochy Sing-Singu,
Razem z Nim kroczą wszyscy bojownicy pokoju.

Wasze bohaterstwo nie lęka się groźby kate,
Kary śmierci... Wasza prawda jest niezwykła.
Z Was, nieugiętych, czerpie siły nadzieja świata:
Oto jest człowieczeństwo, które podłość pokona.

JULIAN STAWIŃSKI

Koniec i początek

Wyrok nieoczekiwany nieomylnych wymaga sedziów.
Takich zaś nie ma wśród ludzi. Dlatego Wiktor Hugo
prawo bezapelacyjnych werdyktów przyznawał jedynie historii.

W sprawie Rosenbergów wiele zapadło orzeczeń.
Ale żadne z nich, nawet to, które dwoje niewinnych
raziło elektrycznym prądem, nie zamknęło przewodu. Tylko kartom
mogło się zdawać, że samosąd klasowy będzie końcem rozprawy. W rzeczywistości
jest dopiero początkiem. Wyrok ostateczny piszą siły potężniejsze
nad tron, wyższe nad Domy Białe i Domy Śmierci.

W obliczu wydarzeń, które odmierają bieg dziejów, cisną się porównania.
Lecz gdzie ich szukać na widok lotnictwa, jakie z miedziannym
czolem spełnia klasa rządząca imperium Ameryki? Siegamy
w najgłębsze czeluście minionych epok. Na próżno. Nie było
takiej hanby. Dreyfusowi pozwolono dojechać się rehabilitacji.
Jean Calas, zamordowany przez tepe katolicki fanatyzm, ze strachu
kłam przed sądem i sam przypieczętował swą zgubę. Ale na głos Woltera
parlament w Paryżu zrewidował sprawę i ofiarę ciemnoty przywrócił
pośmiertnie do czci.

Odtąd, a było to przed dwoma wiekami, świat cywilizowany nie znał
już morderstw sądowych. Dopiero faszyzm powążył się zmienić trybunały
w katownię, z ministrów i sędziów uczynił siepaczy, a głowy państwa
i senatorów kazał wznosić modły diekcyjne za pomyślne dokonanie
zbrodni. W piecach ognistych chciał spalić postęp, drągami żelaznymi
zastrzyc obroty ziemi. A tym, co mu stało na drodze terroru i wojny,
barbarzyńca gotował zagładę. Tak przyszło do tego wyroku.

Zawodzą słowa. Nie ma ich w ludzkim języku dla oddania treści
suchej relacji wiekowej: 2 minuty i 45 sekund agonii, 4 minuty i 30
sekund. I nieskończoność agonii czekania. Dwa lata tortur, naciśnięcie
szantaży i walki. Walki nierównej, a tym straszliwej, że stawką było
nie tylko własne życie. Wytrwanie w prawdzie należało okupić życiem
najbliższego człowieka.

Ale w narodzie rósł lęk. Opadał na ciche farmy siedzące „z dala od
wielkiej polityki”, był w nędze murzyńskich chat i rojowiska Harlemu,
hulał po ludnych arteriach New Yorku, kłotał w płataniu podmiejskich
uliczkach, skradł się do zacisznych domków mieszczańskich, burzył
spokój, dzielił rodziny, szalał. Lepki i gesty, odrzucający i jadowity,
podstępny i zdradziecki, niewidzialny i niewchwytny, a wszędzie
obecny i wszechwładny. FBI.

Faszyzm na różny sposób walczył z demokracją. Czasem uderza ją
wprost i zuchwale, z całą butą otwartego wroga. Tak było w Niemczech
i Włoszech, tak u nas działali Ożony i Oenry. Gdzie indziej napadał
skrycie, drążył od wewnątrz, truje, przeżera, rozkłada. Faszyzm amerykański
starannie wyryzował atak, niczym ów szturm pokazowy na froncie
koreańskim. Trumanizm stanowił zapory ogni przed wielką ofensywą.
Zwycięstwo wyborcze republikanów miało być hasłem końcowego
natarcia. Role podzielono dokładnie. Prezydent głosił pokój, a sztykuje
okno, siera się z Mac Carthy'ym i Taftem, a słucha ich rozkazów.
FBI żelazną obręczą strachu okuwa społeczeństwo. Monopole
wojenne wysysają gospodarke kraju, podcinają przemysł cywilny, opłatają
farmera, by dostawca żywności zmienić w dostawcę armatniego
miesa. Ku Klux Klan w gorliwej złości na Kapitolu i wespół z
rządem chce rzucić sobie do stóp cały naród. Wciaga w swoją służbę
narzędzia opinii i środki wychowania, literaturę i sztukę, szkołę i kościół.
Nie ma granic oszczerstwom i podejrzeniom. „Kto usiłuje żyć po
dług nauki Chrystusa, tego piętnują jako komunistę” — wola z kazałnicy
w Detroit wielbny Charles Hill.

Piętnują ateistów i chrześcijan, uczonych i prostaczków, ludzi wielkich
i małych — jeśli tylko nie stają przy czarnej chorągwi śmierci. „Obłąd
polityczny nawiedził nasz kraj” — rozpacz wyższy urzędnik Departamentu
Stanu widząc jak drugoczą jego ojczyznę. „Nie mamy już usprawiedliwień dla
przeciągania wojny” — odpowiada prezydent Eisenhower, a jego podwładni
szukają nowych pozorów.

Jak w starej baśni arabskiej trupy nie chcą odejść od stołu. W mroku
gęstszym niż ciemne średniowiecze pożerają Republikę, którą niedgdyś dala
im życie. Nie ma ocalenia dla szaleńców, gdy wzięją lekarza. Powieki
przed trybunał sędziego Douglasa i jakby ściągani przekleństwem grozą
zgubą każdemu obrońcy pokoju, postępu i demokracji. Lecz nie budzą
już strachu, budzą pogardę ludzkości.

Nie przekleństwo bowiem ich ściga, a twarda historyczna konieczność.
Sami wpisali się w kół, z którego próżno im szukać wyjścia. Umieją
wysyłać na śmierć, nie umieją przywracać do życia. I dlatego, gdy
rozległ się protest ludzkości i okrzyk bólu ich własnego narodu,
ponieśli na szafot sumienie swego kraju.

Przebrała się miara. Jeszcze zdoliła zabić. Jeszcze prowokują w Korei.
Komunizm wojny nawiedza stolice świata. Ale z krwi niewinnych
rodzi się inna przyszłość. Mylą się ci, którzy liczą na otepianie
Ameryki, ciemnotę i nieświadomość jej ludu. Płace Wolność u wejścia
do miasta więzienia, lecz są i tacy, którzy mają siły pioruna. „Na krześle
elektrycznym umarła demokracja” — mówił obrońca Rosenbergów.
Obłąd nie umiera, lecz śpi. I powstanie, kiedy usłyszysz wotanie ludzkości.
Zbudzi się, by oskarżyć morderców. A wówczas będzie wszystko policzone,
policzone będą dni Domu Śmierci.

Runęła Bastylia i runie Sing-Sing. Takie jest prawo rozwoju świata,
taki jest nieodwołalny wyrok.

JULIAN STAWIŃSKI



JAN ALEKSANDER KRÓL

GDY SPÓŁDZIELNIĄ KIERUJĄ NIEDOŁĘGI...

(List otwarty do Marii Lamotowej)

POZWOLCIE, że zacznę od cytatu ze Stalina:

„Z punktu widzenia leninizmu kulakowie, podobnie jak Rady, rozpatrywane jako forma organizacji, są bronią i tylko bronią. Sedno sprawy tkwi w tym, w czyich rękach znajduje się ta broń i przeciw komu będzie skierowana”.

Opisaliście nam — przytaczając szereg szczegółów — Waszą spółdzielnię produkcyjną w Dębicy. Fakty dotyczą roku 1952. Jeśli nazwiemy dębicką spółdzielnię orężem, zastanówcie się — w czyich rękach znalazła się ta broń w roku 1952? Czy nie schwylił jej równocześnie i zagroził zwolnieniu spółdzielni i wrogowie rewolucji?

Czy nie o tym mówią fakty zawarte w Waszym liście? Z jednej strony grupa przodowników (po 400—600 dniówek), z drugiej — grupa tych, którzy działali przyzgodowo, „po cichu” powiększyli nawet do kilku ha (z ugorów), a na wspólnym bardzo mało pracowali. Tej grupie przewodził kulak Jazdzewski. W 1950 roku nie przono go na kolanach. Sam się wprost do „towarzystwa”. A po co? Aby wyrwać nową broń z rąk mało i średniorolnych. I czego dokazał? Wypracował na kłopy 9 dniówek. Jednego konia zatrzymał dla siebie i „ziemię indywidualną” nadal uprawiał, zachęcając innych członków do tego procederu, „bo jako spółdzielcy płacić podatku nie będąc”.

Według Was ta grupa „była przekonaną, że z tego, co się w spółdzielni zarobi — nie wyżyje”. A według nas — robota to kulaka. Świadoma, kontrewolucyjna robota. Jasnemu, że u narodzin spółdzielni wśród jej członków byli i mniej przekonani. Dlatego „wkroczył się” kulak Jazdzewski — aby zostać ich nauczycielem. Niepewność i niejasność perspektyw wobec braku doświadczenia zamileni w kilku w niewiarę czynną, wciągając ich do uprawy indywidualnej. Broń została przechwycona przez wroga i obrócona przeciw rewolucji.

Skutki? W 1951 roku uszło im to na sucho. A co to znaczy? W spółdzielni umocniła się grupa rozsadzająca socjalizm na wsi w jego własnej twierdzy. Przekreślony został w części statut, prawo nowego życia. Poderwana zespolowa organizacja pracy, okradziona spółdzielnia z zaplanowanymi i potrzebnej ilości pracy. Wprowadzona i utrwalana dezorganizacja i demoralizacja, zale i zgorznienie. Tolerowane okradanie państwa (na ukrytych parcelach). Takie było działanie wroga. Dlaczego tak sukcesywne? Bo z drugiej strony zwolennicy spółdzielni nie bardzo rozumieli, że ona w ich ręku powinna być bronią wymierzoną przeciw kontrewolucji.

Powiecie, że walczyli przykładem. Owszem, ale to była „walka” obok wroga a nie z wrogiem. Wydali ją tylko ziemi, ludzkie się, że wystarczy dać dowód wyższości socjalistycznej gospodarki, aby rozbroić wpływ kulaki. W 1952 r., jak podajecie, zebraliście na spółdzielczych polach 31,5 q jęczmienia z hektara, owsa — 26 q, pszenicy — 22 q, żyta — 17,5 q, buraków cukrowych — 418 q. Pięknie.

Wyciągnęliście dniówkę na 21 zł (w 1951 roku — 19,30 zł). Pięknie. Ale pracowali nie wszyscy, ale w obowiązkach i dochodach uczestniczyli nie wszyscy, ale hodowali która decyduje o pełnym rozwoju gospodarczym spółdzielni i stanowi podstawowy dowód wstąpienia członków w spółdzielnię i utrwalania się zespołu — hodowla u Was kuleje.

Dlatego kuleje? Bo takie sobie zadanie postawił wroć, który do spółdzielni wdarł się jak do arsenału broni, aby ją skierować przeciw rewolucji, przeciw umocnieniu się nowej gospodarki, przeciw okrzepnięciu „społeczności spółdzielczej”.

Czy nie zgodzicie się ze mną, że wysoki urodzaj i niemala dniówka nie dają jeszcze pełnego obrazu spółdzielni? Jeszcze nie odsłaniają całej prawdy. I kto na tym poprzestaje, przed samym sobą skrywa resztę, odcinając się od istotnych pytań i niepokojów. Wszak przy takich samych urodzajach i dochodach jedna spółdzielnia idzie w rzeczywistości do umocnienia się i rozwoju, a druga ku wiednięciu i rozkładowi.

„Gdzie tkwi przyczyna? Przyczyna tkwi w tym — mówił Stalin — że pierwszą grupą kulchozów kierują prawdziwi komuniści, a drugą grupą kierują niedołągi, co prawda z legitymacją partyjną w kieszeni, lecz bądź co bądź niedołągi”.

Czy Wasz kulak i jego robota — trudne to było do rozszyfrowania? Czy w pole wywiódł Was dlatego, że przestał być podobny do kulaka z plakatu? Ze zamienił się w człowieka „łagodnego”, „miłego”, prawie „świętego”? Nie podobnego. Jego strategia była dostatecznie wyraźna. Więcej, była bezczelna. I pewnie dlatego tak śmiała i jawna, że zastosowana wobec poczytych niedołągów.

Jakże bowiem inaczej nazwać zarząd, który nie wysadza ze spółdzielni kulaka, który przez dwa lata nie może sobie poradzić z grupą tych, co działali przyzgodowo u zupełniali parohektarowym gospodarstwem, który jeszcze w 1953 r. nie pchnął napróżd hodowli spółdzielczej? — **Niedołągi.**

Ala niedołągi nie tkwi w ludziach od urodzenia. Rodzi się z określonych przyczyn i jeśli spółdzielnia jest orężem rewolucji — niedołągi władanie tą bronią obraca się przeciw rewolucji. A skoro w skutkach obraca się przeciw rewolucji to i w przyczynach ma źródło tej samej politycznej natury.

Nie wywaliście kulaka ze spółdzielni. Dlatego? Teraz nie powiem — niedołągi. Teraz zapytam — co mogło zrodzić niedołągi? Otóż, czy nie przeświadczenie, że kulak w spółdzielni to już nie wroć? Czy nie wiara, że spółdzielnia wilka przemieni w jagnię? Ale takie (oczywiście, niesprecyzowane) mniemania obracają się w kręgu jakże fałszywej zmyśl. że kapitalizm może przetrwać w socjalizmie.

Dlatego byliście przez dwa lata beznadziejnie wobec tych, którzy przyzgodowo działali zaokrągliłi sobie do kilkuhektarowych gospodarstw?

Powiadacie — „bo tkwi jeszcze w ludziach przekonanie, że z tego co w spółdzielni zarobi, to nie wyżyje”. Oto hamulec Waszej walki z łamiącymi statut. Gdzie tkwił ten hamulec? W Waszych poglądach.

A te poglądy kazały Wam podporządkować się żywiołowi samorządnego rozwoju spółdzielni. Na taki przedstawiliście się rozwój. „Tkwili jeszcze w ludziach przekonanie... ergo — bądnym cierpliwie dobrej myśli, a dobrowolnie opamiętają się i do szluszają”.

Dlatego to, skupiwszy cały wysiłek na produkcji, aby osiągnęli dać dowód wyższości gospodarki spółdzielczej — nie potrafiliście rozwinąć hodowli?

Bo wroć tkwił w spółdzielni i toczył z wami walkę. Wycofał część spółdzielców ze wspólnej pracy i z pozycji przyzgodowych działek, pchał ich do restauracji indywidualnej gospodarki. Ta liczba brakujących rąk i przeciwników wspólnej gospodarki stworzyła dostateczny wyłom w zespole, aby hodowla kulaka.

A kulejąca w 3 roku hodowla to polityczne rzecz biorąc broń w rękach wroga, jego skuteczna kontrofensywa.

Chcieliście walczyć z ziemią, nie walcząc z kulakiem, nie walcząc o wydarcie ludzi spod wpływu wroga i kontrewolucji, toście w gospodarce musieli przegrać, w tym jej ogniwie, które rozstrzyga o pełnym

zwycięstwie socjalizmu w spółdzielni. Przegraliście dlatego, że nie walcząc byliście w walce. Wroć z wami walczył, stare z wami walczyło.

Wroć pamiętał, że spółdzielnia to broń i broń tę przechwytywał, kierując ją przeciw rewolucji. Wyście zaś w spółdzielni chcieli widzieć nie broń, ale balsam, który sprawia cuda — kulaka wyleczy z jego natury klasowej i „zneutralizuje”, a z zaoferowanych wypompuje ropę indywidualnych nawyków. Pomalutku, powolusku, aż do skutku?

Wasz kulak swoje robił jawnie. Nie pracował na wspólnym, zatrzymał konia i zaokrąglił działkę do kilku hektarów. Okazało się, że postępując tak beczelnie działak zrzeczenie. Gdyby odział się od razu w owczą skórę, wzbudziłby może w was czujność i podejrzenie. A że tego nie uczynił, więc Wasz „trzeźwy praktyczny” dopatrywał się w jego nawrotach do starych nawyków za powodzi na powolną „ewolucję”, bo waszym „realizmem”, waszą „trzeźwością” kierowała polityka „nawracania kulaka”. A że to polityka zgola przeciwna marksistowskiemu rozumieniu klas, zgola przeciwna rewolucyjnej walce o socjalizm, więc też „trzeźwy praktyczny”, tolerując objawy klasowej natury kulaka, ustępował przed faktami, hamującymi rozwój spółdzielni, wypaczającymi jej socjalistyczny cel.

A nie walczyć z wrogiem, nie demaskować przed spółdzielcami jego kontrewolucyjnych wpływów, to znaczy stawać się niedołągami, którzy jak mówił Stalin — „przeciwnie, sami poddają się wpływowi lotrowskiej demagogii kulaków i wloką się w ich ogonie”.

Piszecie, że z początkiem stycznia br. „GRN zainteresowała się tymi wszystkimi, co poszli za kulakiem i powiększali swoje działki przyzgodowe, niektórzy nawet do kilku ha, i nalożyła im podatek i planowy skup. Dopiero teraz się zaklinają, że już więcej śać osobno nie będą i czują urazę do mnie i do męża, że Lamot podał do gminy”.

Cóż to znaczy? Niedołągi dwa lata tolerowały taki stan rzeczy „bo tkwi jeszcze w ludziach przekonanie, że z tego, co w spółdzielni zarobi, nie wyżyje”. Niedołągi zatem przez dwa lata korzystały się przed takim poglądem i wlokły w jego ogonie w oczekiwaniu na samorządny proces przemian w poglądach odstępców. Wreszcie odwołały się do administracyjnej interwencji. I wtedy okazało się, że odstępcy „zaklinają się, że już więcej śać osobno nie będą”. Nastąpił więc przełom w tym, „co w ludziach jeszcze tkwiło ze starych przekonań”. Nastąpił pod naciskiem działającego prawa. I oto mają ci spółdzielcy żal do zarządu. Ten żal to krytyka niedołągów za brak ideologicznej pracy, za stopniowanie czujności rewolucyjnej, za nie demaskowanie wroga i nie ukazywanie spółdzielcom jego demagogii i prawdziwego kontrewolucyjnego oblicza. Wszak największym sukcesem kulaka Jazdzewskiego było nie to, że pewną grupę przekabacił do uprawy indywidualnej, restaurując „ciche gospodarstwa”, ale to, że kierujące niedołągi uznały, że on tylko wpływał a nie, że wpłynął, „bo tkwi jeszcze w ludziach to przekonanie...”. Żal spółdzielców tu ma swe źródło — nie walczono namietnie z tym ich przekonaniem, nie walczono o wyrwanie ich spod wpływu kontrewolucyjnych, nie demaskowano wroga i nie ukazywano zagrożenia, jakie stał nadciągające.

Jeśli by tak miały się rzeczy, wówczas niedołągi „przeciwnie, sami poddają się wpływowi lotrowskiej demagogii kulaków i wloką się w ich ogonie”.

W tej kwestii Wasz list zawiera nimalą ilość faktów. Piszecie o

swoim mężu, członku zarządu i przodowniku oraz o sobie: „My poza działką przyzgodową nie śiali nic. Rodzina duża, a w tym roku zarząd nie chciał zrobić złobka, więc mając poza starszymi dziećmi, jedno 10 miesięcy, drugie 2 lata, a trzecie za pasem, nie mogłam wiele pracować. Ale i tak wyrobiłam 73 dniówek, mąż 476, chłopcy 40, razem — 589 dniówek”.

Tym opisem, przeciwstawiając się członkom, którzy zaokrągliłi sobie działki do kilku ha i na ogólnym mało pracowali.

U Was zaś mimo że duża rodzina, mimo że trudności z małenstwami i ciężką, jeden tylko kierunek — na spółdzielcze pole!

Otóż, czy jeden? Prawda, żeście poza działką nie śiali nic. Ale o coż szło tamtym, kiedy wychodzili poza działkę? O to, aby uzyskać podstawę utrzymania indywidualną, nie z gospodarki spółdzielczej, nie z zespolowej pracy. Kierowała nimi niewiara w to, żeby z pracy i zarobków w spółdzielni można było wyżyć. Tę niewiarę podsycał wroć i wskazał dla niej ujście — jak w skutkach swoich groźne dla spółdzielni, jak kontrewolucyjne — mówiliśmy już. Aleśmy jeszcze wszystkiego nie powiedzieli.

Wpływ nie na tym tylko polega, że drugi zaczyna robić to samo, co pierwszy. Przed posadzeniem o taki wpływ bronić się w liście. Oni mówili, że nie wyżyje, a Wy mówicie: „że wyżyje i starczy na wszystko z nadkauciem, tylko trzeba uczyć pracować”.

Istotnie, starczyło Wam z nadatkami. „Dałam sobie robić futro za 4.200 zł, buciki za 800 zł, dla męża pokrycie na kożuch, garnitur i oficerki oraz ubranie dla wszystkich dzieci, co też kosztowało parę tysięcy”. (Dzieci przy was — 8-9?)

Ala w bilansie Waszych dochodów w jakichże proporcjach występują pozycje spółdzielni i przyzgodowej działki?

Oto ze spółdzielni otrzymaliście około 12.000 zł. — W zbożu — 35 q, w cukrze — 290 kg i 5.000 zł gotówki.

A z przyzgodowej działki? 2 krowy i jałowka, cztery tuczniki („dla państwa 2”), kur 65, królików 75, „chowam także gęsi i kaczki, w ogrodku na 18 arach truskawki, maliny, rabarbar, mam też czasu więcej, żeby sobie i dzieciom ugotować dobre jedzenie”.

Wreszcie 10 uli, „które dały 280 kg miodu, z czego sprzedaliśmy 250 kg, co dało 10.000 zł, a 30 kg zostawiłam dla dzieci”.

Krótko mówiąc, obie pozycje równoważą się, a kto wie, czy działka nie przeważa. 589 dniówek równa się albo nawet nie równa dochodom z działki przyzgodowej. Czy to nie zastanawiające?

Nie śialisie poza działką. To jest litera prawa, a duch tej lojalności? Spróbujcie spojrzeć oczami tych, co nie wierzyli w owoc wspólnej gospodarki. Powiedzą — Lamotowie mogą wyżyć ze spółdzielczego, ale też mogą żyć ze „swojego”. Tegocześnie dowiedli. Sukces — jak widzieliście — polowiczny. Oni ilością chcieli wygospodarzyć osobiste i prywatne. Wy — jakości. Oni dlatego wyszli poza działkę, czego Wy nie potrzebowaliście czynić. W czymś się jednak schodzą.

W spółdzielni nie ma hodowli zespolowej. Ale u Was są już 2 krowy i jałowka. W spółdzielni nie ma pasieki zespolowej, ale u Was jest aż 10 pni, co daje 10.000 zł, bez mała tyle, co Wasz całoroczny zarobek spółdzielczy.

Nie wiem, czy potraficie odwrócić zagadnienie. — Nie chcieli hodowli — to ja mam krowy, nie chcieli pasieki — to ja mam ule. Nie taki przecież bieg miały sprawy.

Kto kieruje się polityką „nawracania kulaka”, kto poddaje się żywiołowi samorządnego rozwoju spółdzielni? (Dokończenie na str. 2)



RYSZARD HŁADKO

POWIEŚĆ O WSPÓŁCZESNYM IRANIE



Dzieci robotniczej dzielnicy Abadanu

Od dwóch lat jestem świadkiem zastraszania się walki imperializmu amerykańskiego i angielskiego o irańską naftę. Masz ludowe Iranu nie chcą jednak ani angielskiej „pomocy”, ani amerykańskiej „opieki” — pragną wolności i niezawisłości swego kraju.

Świadczą o tym protest mas ludowych przeciwko rozgrzybnieniu amerykańsko-angielskim, w wyniku którego Iranu zmuszony był przeprowadzić nacjonalizację przemysłu naftowego. Świadczą o tym 2 miliony podpisów zebranych w Iranie pod apelem o pakt pokoju 5 mocarstw.

*) Mirza Ibrahimow: „Nadejście dzień”.

Książka i Wiedza, Warszawa 1953 r.

ALICJA LISIECKA

Z DZIEJÓW GRUZJI

ODZNACZONA w 1942 r. nagrodą Stalinską dwutomowa wówczas powieść Anny Antonowskiej „Wielki Mouraw” nie została dotychczas zakończona.

Autorka po wydaniu w 1947 r. tomu trzeciego rozpoczęła pracę nad ostatnim, czwartym tomem powieści. Już jednak wydane w latach 1937 — 1940 dwa pierwsze — oraz nieco później — trzeci tom — dają czytelnikowi wyraźny obraz feudalnego Wschodu na przełomie XVI i XVII w.

1. Burżuazyjna powieść historyczna operowała często idealistycznym przedstawieniem dwóch religii, dwóch ras, dwóch narodowości. Autorka, znana tak dobrze czytelnikowi polskiemu choćby z „Kryżowców”, Kossak — Szczuickiej, w powieści Antonowskiej nie istnieją. Autorka „Wielkiego Mourawiego” podzieliła społeczeństwo feudalne na pięć odrębnych części Gruzji. Okres ten stanowi „ciemna epoka” w przeszłości narodu gruzińskiego, epokę gospodarczego upadku kraju. Najład szacha Abbas, niebezpieczeństwo wojny domowej, prawo niezależności cerkwi i nieograniczona władza rozprawionych książąt przy jednoczesnym osłabieniu władzy cesarskiej — oto elementy służące do nakreślenia wizerunku klasy panującej. Feudalne chłopstwo gruzińskie pracujące w dobrach obywatelskich, cerkiewnych czy cesarskich nie jest warstwą jednolitą, dzieli się na półniewolniczą warstwę masepe, na nieco wyższe postawionych w hierarchii społecznej glechi i wreszcie mielci w sobie grupę msachuri, spełniających zazwyczaj funkcję zarządców w majątkach azaurskich¹⁾. A ościenna Persja? Warstwa masepe istnieje nie tylko w cesarstwie kartlijskim czy kahechskim. Nie tylko tbilisy kamieniarze noszą młotki zatknięte w pas na znak bezrobocia. Nie tylko garbarze gruzińscy pracują w warunkach wyczerpujących siły i odcinających ich od życia. W Abbas, wielkiej stolicy szacha Iranu, proporcje są te same: niedza obok złota. Centralny konflikt klasowy

jako bazę wypadawcą przeciwko Związki Radzieckiemu, jako ważny punkt strategiczny i surowcowy w ewentualnej wojnie z Krajem Rad.

W książce swojej Ibrahimow omawia narodziny wielkiego ruchu społeczno — wyzwolenie mas irańskich, kierowanego przez klasę robotniczą. Narodziny tego ruchu dają początek Irańskiej Partii Ludowej „Tudeh”.

Iran składa się z wielu narodowości. Obok większości perskiej żyje w północnych prowincjach kraju kilka milionów Azerbejdżan, milion Kurdów, resztę stanowią Ormianie, Turkmeni, Kaszajowie i Arabowie. Mniejszości te, a głównie najliczniejszy naród azerbejdżański są przedmiotem szczególnego zacieklej dyskryminacji ze strony rządu. W przeciwnieństwie do obywateli Azerbejdżańskiej Autonomicznej Republiki Radzieckiej, którzy mają wszelkie warunki gospodarcze i kulturalnego rozwoju, Azerbejdżanie irańscy pozbawieni są nawet tak elementarnego prawa, jakim jest prawo posługiwania się własnym językiem.

Ponieważ irańska burżuazja wszelkimi siłami stara się skłócić narody Iranu podstawowym więc zadaniem ich jest zjednoczenie się we wspólną walkę o wyzwolenie społeczne i narodowe.

Ibrahimow daje szeroki, zróżnicowany obraz wszystkich warstw społecznych i narodów zamieszkujących Iran.

Obraz działalności przedstawicieli irańskiej burżuazji w powieści oddziałają cały skomplikowany mechanizm powiazań sfer rządzących Iranu z szachem na czele z przedstawicielami dyplomatycznymi Anglii, Niemiec hitlerowskich i USA. Reprezentuje ich irański obywatel i handlowiec, Hikmat Isfahani, człowiek o nader gwałtownym kregosłupie politycznym, umiejący się dostosować do każdej okoliczności. Prócz niego w nader interesującej galerii ludzi otaczających tron szacha poznajemy ministrów dworu, Hakimulmulkę, który w służącym placuszkiem się przed monarchą zaprasza resztki czci i honoru. Z kolei naczelnik policji Sefali, to okrutny prześladowca irańskich patriotów. Cała ta dworska kamarylla z głębi duszy nienawidzi szacha, lecz z obawy przed rewolucją społeczną — choć skłócona wew-

nętrnie — popiera jego despotyczny system. Analogiczne stosunki istnieją wśród przedstawicieli dyplomatycznych państw imperialistycznych, którym zacięte rozgrywki o naftę nie przeszkadzają jednomyślnie w planach napaści na ZSRR, bo „choć każdy z nich gotów jest przegryźć drugiemu gardło w walce o rynki światowe, kiedy chodzi o ruch wyzwoleniecy sił demokratycznych, wszyscy oni tworzą jednolity front” (Str. 332).

Trzej bohaterowie powieści: Azerbejdżanin Fridun, Kurd Achmet, i Pers Kachramani reprezentują ruchy wyzwoleniecy narodów Iranu, ruch międzynarodowy, związany ściśle z walką o likwidację ustroju burżuazyjnego, uciśnianego zarówno Persów jak i inne narodowości. Fridun, Achmet i Kachramani działają w jednej organizacji politycznej — fakt ten symbolizuje jedność interesów mas ludowych jako całości, bez względu na ich przynależność narodową.

Ruch wyzwoleniecy Iranu zatacza coraz szersze kręgi. Autor pokazuje, jak przyciąga się do ruchu coraz nowi ludzie, dostrzegający do zrozumienia konieczności czynnej walki. Ibrahimow przedstawia nam stopniowy rozwój świadomości tych ludzi, uwarunkowany ich trudnymi doświadczeniami życiowymi i zetknięciem z konkretną pracą rewolucyjną. Na przykładzie rodziny robotnika Serchana Ibrahimow pokazuje inny jeszcze czynnik przemiany ideologicznej. Pozyskanie Serchana dla ruchu dokonuje się dzięki zaktywizowaniu jego żony, Feridy.

Na skutek pracy w organizacji i pod wpływem obiektywnej sytuacji w kraju do ruchu włączają się także ludzie bierni, zastraszeni lub ulegający złudzeniom: wysoki urzędnik ministerstwa — Selimi i przybrana córka ministra dworu — Sudaba. Pierwszy to typ „ucieczki patriotą”, który rozczarował się co do możliwości pogodzenia interesów ojczyzny z ustrojem i w końcu musi stwierdzić, że „półk jest nieprawdą, prawdy nie będzie” i że to „prawda, której poszukiwaliśmy, jest właśnie tam, w dołach...”. Mniej przekonany do zarysowanej jest droga przemiany Sudaby: miłość do Friduna i nienawiść do morderców jej ojca nie mają dostatecznego umotywowania jej decyzji.

Działalność grupy rewolucyjnej, którą maluje Ibrahimow w powieści, pokazana jest może nie dość szeroko. Główną rolę odgrywa tu praca wydawnicza konspiracyjowa. Kolportują oni broszury, formułując program i zadania, o które walczy organizacja. Broszury te mają szeroki oddźwięk wśród mas, w kołach rządowych i w obcych ambasadach. Jednakże pominięcie innych form pracy organizacji jest z pewnością niedopatrzaniem autora.

Wrażenie niedosytu pozostawia również problem chłopstwa. Rodzina wujka Musy, reprezentująca w powieści chłopów irańskich, składa się z ludzi ciemnych, zahukanych, i odruchowo buntu przeciw krzywdzie i przemocy są u nich wyrazem rozpaczy, a nie świadomości protestu. Chłopi irańscy występują tu jako klasa cierpiąca, a nie jako klasa walcząca. Pisarz starał się wprowadzić pewne momenty budzenia się wśród chłopów świadomości klasowej (rozmowy Musy z Fridunem, sprawa ciotki Sarili), ale bez nadziej obraz biernego cierpienia chłopów nie jest dostatecznie równoważony nadzieją wciągnięcia chłopstwa w walkę pod kierownictwem klasy robotniczej przeciw uciśkowi (obszerne dyskusje programowe na temat sojuszu robotniczo-chłopskiego prowadzone w nowozałożonej partii nie ukazują w całej pełni takich perspektyw).

W książce o tak obfitej zawartości realiów bardzo łatwo można popaść w retorykę publicystyczną. Toteż z uznaniem należy podkreślić i te okoliczności, że książka Ibrahimowa operuje żywymi, konkretnymi obrazami literackimi, że kluczowe zagadnienia rozgrywa się w akcji. Nie ma w niej wątków niedokończonych, zaledwie napoczętych i porzuconych. Jeśli już, napotkamy takie wątki, to odgrywa one konkretną rolę ideologiczną w całości powieści, np. sprawa dziewczyny wiejskiej Gulnaz, porwana do domu publicznego, służy ukazaniu strasliwego położenia kobiety w kapitalistycznym ustroju.

Książka Ibrahimowa nosi tytuł „Nadejście dzień”. W słowach tych mieści się istotny sens książki, mówiący o walce wyzwoleniecy mas pracujących Iranu. Nadejście dzień zwycięstwa ludu irańskiego.

Ryszard Hładko



LEONARD WALLICHT

„CUSZIMA”

Począwszy od końca XIX wieku państwa imperialistyczne walczyły o panowanie nad Oceanem Spokojnym. Zaborcze plany Rosji carskiej spotykały się z takimi samymi zamiarami Japonii. Szło o Mandżurię i Koreę. W r. 1904 wybuchła wojna, przegrana przez Japonię, przyniosła jednak zwycięstwo narastającą w kraju rewolucję. Wojna ujawniła całemu światu zgniliznę i zacofanie carskiego systemu, dezorganizację aparatu administracyjnego, kradzieże pieniędzy państwowych na wielką skalę, sprężalność i niedołęstwo generałów, niski poziom przygotowania bojowego armii. Jak wiadomo, wojna skończyła się klęską carską. Przyczyną się do niej w wielkim stopniu zagłada pod Cuszimą floty bałtyckiej, wysłanej na pomoc okrętom załobkowanym przez Japonczyków w Port-Arturze.

Książka Nowikowa jest właściwie w artyście sposób napisaną kroniką wspomnień floty bałtyckiej, przekształconą w II Eskadrze Oceanu Spokojnego, poczynając od jej przegranej pod Cuszimą, niedokończonego rejsu z Japonią, wokół Afryki do Władywostoku, aż do zagłady pod Cuszimą 27 maja 1905 r. Nowikow, bezpośredni uczestnik losów eskadry, napisał swoją książkę, opierając się na własnych przeżyciach i opowiadaniach współwalczyków-marynarzy, jakkolwiek wyszły również inne źródła (np. dokumenty archiwalne).

Nowikow ukazuje zafocanienie carskiej floty. Na wojnę z Japonią wysłano okręty stare, o niewielkiej szybkości, słabym uzbrojeniu i opancerzeniu. Załoga składała się z rekrutów pierwszy raz widzących morze albo z rezerwistów, którzy już dawno odzyskali się do służby na okręcie. Dowódcą było nieudolne. Niedolność, lekkomyślność, a nawet niechęć do wojny, despotyzm, arogancja, rozstrzęsienie powozów wpłynęły na wynik bitwy. O chaosie panującym w eskadrze i jej wartości bojowej może dać pojęcie „chrest” bojowy, który miał miejsce na długo przed spotkaniem pod Cuszimą, podczas pewnej październikowej nocy na Morzu Południowym. Celując na angielskie kutry rybackie, wzięte za japońskie torpedowce, ostrzelano je, nieumiejętnie obsługując dział floty rosyjskiej, nie ponosząc żadnych strat. „Bitwa”, znana jako „incydent pod Hully”, stała się skądemś na mądrzejszą wojną. W porównaniu z II Eskadrą Japoncyzy gorawo liczebnością okrętów, ich szybkością i wyposażeniem technicznym, lepszą amunicją i celnością strzałów. Tego wszystkiego nie mogło zrównoważyć bohaterstwo rosyjskich marynarzy, którzy nawet na półtopych okrętach strzelali do ostatniego pocisku. Cieslinna Koreańska stała się grobem ponad pięć tysięcy Rosjan.

„Upadek Port-Artura” to początek upadku absolutyzmu w Rosji — pisał Lenin. Klęska pod Cuszimą osłabiła carską, i wzmościła pierwszą rewolucję w Rosji. Ten sens tej jednej z największych w historii bitew morskich jest w książce zachowany. Już podczas rejsu do Władywostoku rosnie wśród załogi eskadry niezadowolenie. Nie chcą do niej iść, bo ma walczyć, każdy natomiast coraz jasniej zdaje sobie sprawę, że wysłano go na śmierć. Niezadowolone podswycały wieści o rewolucji w kraju i przejawiające się na każdym kroku przez paść klasowa między marynarzami a oficerami. Na wielu okrętach załoga protestuje przeciw brutalnemu traktowaniu i skandalicznemu żywieniu. Po

klęsce uświadomienie podnosi się. Walczyli w niej nie dla apoksyficznej wojny, opanowania na wieść, że z powodu powstania garnizonu we Władywostoku nie zostaną wysłani na ind. Zdecydowana postawa marynarzy, którzy jadącego wraz z nimi do Hoshi admirała-dezertera Rożewskiego, do opuszczenia okrętu. Biwa cuszimska więc otworzyła oczy na sprawy nowe, dotąd zupełnie niedostrzegane. Gdy Rożewski w celu zbladzenia buntu jenców wezwał na pomoc Japończyków, ostatecznie zrozumiano, kto jest właściwym wrogiem ludu. „Za co ginie?” — wołał palacz Bakdanow do wracających przez Cieshing Koreański towarzyszy i wskazywał na morze, na którego dnie spoczęła załoga II Eskadry. — Kto temu winien? Teraz już wiemy, gdzie ukrywają się główni przestępcy. Będziemy walczyć, ale nie o koreańskie drzewo, tylko o lepszą przyszłość dla siebie. Ruszymy na wroga wewnętrzne. Podobnie jak Japończyk przedtem Nowikow, po której na każdy okręt uczestniczący w walce, przy czym pole widzenia ogranicza tylko do tego okrętu. Tak spóś opisu bitwy niewątpliwie wynika z jednej strony z zamiaru Nowikowa, by ostrzeżenie najbardziej pełny obraz zmagania pod Cuszimą, z drugiej uwarunkowany jest samą przebiegiem walki. Flota rosyjska już w pierwszej godzinie bitwy poszła w rozszkie. Roszkie, nie chcąc walczyć z Japonczykami samotnie, bez planu, każdy gdzie indziej na szerokiej wodach Morza Japońskiego i obu mórz chińskich. Losy ich były różne: jedne zatopione, drugie przedtawiały się do Władywostoku albo do portów neutralnych, inne poddały się. Chęć w pewien upórządkowany sposób opisać ten olbrzymi chaos nie mógł Nowikow, uczynić inaczej jak przez niktązanie po koleśach każdego okrętu i licząc kilkadziesiąt jednostek floty rosyjskiej. Metoda ta wymagała od autora książki zebrania ogromnego materiału.

Jest w „Cuszimie” spora porcja egzotyki (długi rejs II Eskadry wokół Afryki), są całe serie perypetii okrętów, które wymknęły się z morderczego ognia japońskiej floty, jest pewna awanturniczość tych perypetii, wszystko to nadaje książce Nowikowa charakter swego rodzaju „powieści z przygodami” i sprawia, że czyta się ją z niekłym zainteresowaniem. Tym bardziej, że męska groźba, obniżenie stopnia zaciekania (np. gdy flota płylnie przez Ocean Indyjski) Nowikow, nie zapomina o czytelniku, umiarkowanie daniami z życia — marynarzy i oficerów II Eskadry, nieraz pełnymi humorem. Na pogłębienie zainteresowania i to bodaj w największej mierze wpływa również autentizm opisywanych faktów.

*) Aleksy Nowikow-Priboj — „Cuszima”, przełożył Władysław Broniewski; Ks. pierwsza str. 416, ks. druga str. 321; Państwowy Instytut Wydawniczy 1951.

BRONISŁAW GOŁĘBIOWSKI

„DROGA BEZ KURZU”

Powieść Petru Dumitriu „Droga bez kurz” ma ambicję szerokiego obrazowania społeczeństwa Rumunii rumuńskiego w przełomowych miesiącach roku 1949 od chwili, gdy w połowie lipca na pustynie Dobrudży przyjechali z całego kraju robotnicy, chłopcy, inżynierowie, by rozpocząć budowę obywatelskiego kanału Dunaj — Morze Czarne o szerokości 160 metrów, kanału, który skróci żegludę rzeczną o prawie 400 km i nawodni pustynie, aż do momentu, gdy w maju 1949 r. robotnicy i inżynierowie Dumitriu ukazują wiec roboty wstępne, podjęte bezpośrednio po Uchwale Biura Politycznego KC Rumuńskiej Partii Robotniczej z 26 maja 1949 r. zatwierdzonej projekcie przedwójnego Gheorghiu-Deja.

Dumitriu pokazuje, dlaczego było możliwe w Rumunii wysunięcie projektu planu 5-letniego przez partię, dlaczego była możliwa realizacja takich gigantycznych zamierzeń. Ukazuje entuzjazm mas ludowych w mobilizację agentów, budowniczych, siłę żywotną, wiarę w przyszłość i budownictwo socjalistyczne, pokazuje wielką, polityczną i mobilizującą organizatorską rolę komunistów rumuńskich wreszcie decydującą rolę partii, produkcję i technikę i nauki radzieckiej, wielki przykład budownictwa komunistycznego w ZSRR.

Konkretność obrazowania i atmosfera ciągłej walki przenika całą powieść. Na tym polega jej wartość mobilizująca.

W pierwszym tomie obserwujemy dwie wielkie mobilizacje: mobilizację prowadzoną przez komunistów celem zebrania kolektywu do budowy kanału i wrogą, dywersyjną mobilizację agentów, burżujów, dawnych obywateli i zdrajców ojczyzny, którzy czekając na wojnę z wywróżyli: „Kanał nie powinien być zbudowany”.

Na wzniesienie partii: „Najlepsi na teren budowy kanału” staje do zaciągu stary, wypróbowany komunist, Maftel, opuszczając żonę i kolektyw hut, z którym tak mocno się żył. Z budów Bukaresztu idą przodownicy, którzy już „w maju pracowali na konto października”. Mitika Rusu, dziewczyna, Luika Zacharia, zbrojarczy, Negola — cieśla, Rybak nadnaujaski, Achim, analfabeta, człowiek unieszczęśliwiony przez wojnę, w czasie której stracił wszystkich troje dzieci, też staje do starych wypróbowanych, którzy walczyli o Dobrudżę, by razem z kanałem budować własne szczęście — nową rodzinę, Chirsan, biedniak z nadnaujaskiej wsi Danilowa, w której kłótny grają za uczuciami regularnych ludzi przetrwali wojnę i koniec świata, buntuje się, demaskuje kulackie krętaćwa i decyduje się na wyjazd. Z kamieniolomów w Caranseba wywiera się na budowę wbrew oporom ojca młody UTM-owiec Banka i pociągają za sobą ojca i brata Tudorice. Wielu jeszcze uczestników tej mobilizacji pozna czytelnik. Jada nie tylko przodownicy, Ole Victorus Polosea, kierownik cieżarówek, który był z koniecznością na usługach spekulanta miemem, nie może już dłużej pogodzić się ze swą brudną robotą i ucieka na wieś ludową, 3) Amkstru — organizator ziemiełników i kupców (cechy)

Wrogę przeprowadza sprytnie dywersyjną robotę. Były pułkownik, arystokrata, zdrajca i agent obcego wywiadu Mateika, wdziera się przy pomocy klerownika budowy, inżyniera starej daty, nie wierzącego w powołanie, do zespołu przedsięwzięcia, na stanowisko klerownika personalnego, by obsadzić całą administrację, magazyn, sielówkę, urząd normowania prac wrogim elementom, dywersyjnie dwumyślny, aby realizować swoje zobowiązanie, które brzmi: „Na 23 sierpnia, święto narodowe Rumuńskiej Republiki Ludowej, rocznicę wyzwolenia Rumunii, w Caranseba, Banka i obalona faszystowska dyktatura Antonescu zbudujemy elektrownię, serce budowy, wzorując się na radzieckim systemie budownictwa”.

W trakcie budowy zmieniają się, rosną, kłępią bohaterzy. Rybak Achim, już nie analfabeta, to komunist, członek egzekutywy i przodownik pracy, Autor ukazuje cały proces jego wzrostu. Młody zapaleńca Banka wyrabia ciętystwa procent normy pozostawiając daleko w tyle starych dwumyślnych mistrzów. Wiele życiowych problemów rozwiązuje się i komplikuje. Nie sposób zasygnalizować ich w krótkiej notatce. Inżynier Pangraty zrywa z cyniczną Doną, choć kosztuje go to wiele walk wewnętrznych i wyrzeczeń. Zostaje ciężko raniony przez dywersanta za zdecydowaną walkę z oportunistami kierownikami budowy. Ale nie rezygnuje z walki. Przeciwnie. Zabrakowało, głęboko przekonany o słuszności sprawy za którą naraża życie, wraca na budowę bardziej czujny i bezwzględny dla wrogów.

W ten sposób Petru Dumitriu pokazuje wielki przełom w życiu narodu, wreszcie zwycięstwo, bogaty obraz mistrzów. Pomija wiele problemów, wiele tylko sygnalizuje, ale przez nie pokazuje główny nurt przeobrażeń, pokazuje przemianowanie się starej świadomości w ogień nowej socjalistycznej budowy, pokazuje zespoleenie się i wzrost sojuszu robotniczo-chłopskiego i kształtowanie się zaciętków, trudne społeczeństwa socjalistycznego. Ten szeroki epicki oddech powieści decyduje o jej dużych wartościach poznawczych.

Przed IV Światowym Festiwalem Młodzieży Demokratycznej w Bukareszcie „Droga bez kurz” Petru Dumitriu powinna dotrzeć masowo do rąk młodzieży i starszych.

*) Petru Dumitriu — „Droga bez kurz” tłum. z rumuńskiego Rajmund Floranc, Czytelnik 1953 r. t. I, str. 365, t. II str. 495, cena 21 zł.

1) UTM — Związek Młodzieży Robotniczej Rumunii.

Gdy spółdzielnią kierują niedołęgi...

(Dokończenie ze str. 1)

wielowi samoradnego rozwoju spółdzielni, kto korzy się przed tym, co tkwi jeszcze w ludziach i czeka na wyfermentowanie żywiołowe ich poglądów — ten wypuszcza broń z ręki i nie walczy zaciekle z wrogiem, nie demaskuje jego demagogii, nie przeciwyęca jego wpływów. A co robi?

Sam im ulega i wlecze się w ogonie.

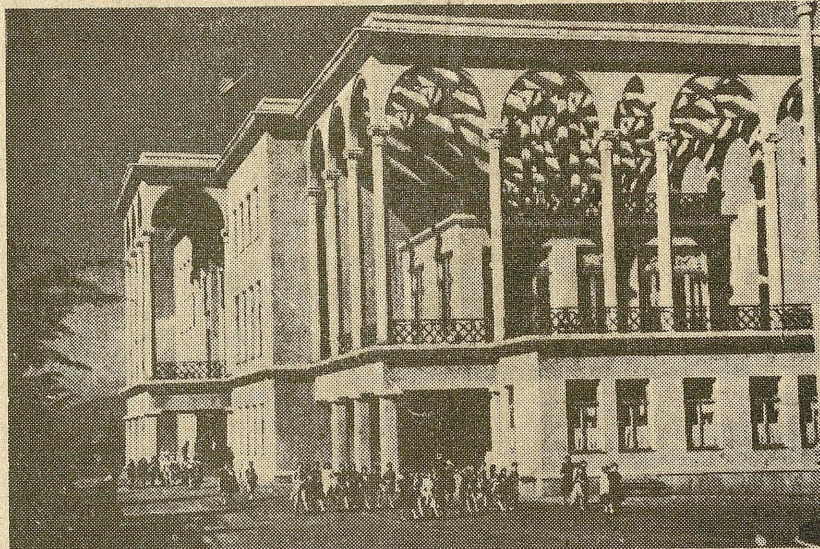
Na czym to polega u niedołęgów-rewolucjonistów? Na tym właśnie, że nie rozwijają wspólnej hodowli pomnażają rogacznę „na swoim” (działka przyzgodowa to przecież resztkowa dawnego systemu własności prywatnej). Ze nie walczą o spółdzielczą pasję, o siebie ją zakładają. Ze zaczynają obrabzać w tłuszcz i smakołyki na swojej działce. Reya przypomina Wasz opis. Aż to nie rozkosz mieć setki kur, królików, gęsi, cztery tuczniki, trzy krowy, truskaweczki, maliniek i miodu, aż nie rozkosz ugoułować dobre jedzenie, „a ubrać się też lu-

bie”. Pochwała to pracowitość, którą koronuje gnuśna sytość i filisterska zgola atmosfera.

A zaczął się w dzieciach Waszej spółdzielni nowy rozdział. Wrócił na jej łono nawrócony. Nawrócony przez rygor prawa, dlatego nawrócony w połowie i w połowie rozgoryczony. Kierownictwo niedołęgów do administracyjnych uciekło się środków, utrzymujących, zaochnych. Bo w oczach wczorajszych odstępów fason miało już zbakierowany.

Dziś nawrócony będą pytać: Gdzie hodujecie krowy? Gdzie hodujecie pszczoły? Czy tylko myśmy hamowali rozwój spółdzielni i jej społecznej produkcji? Czy myśmy tylko obrabiali w pierze poza polem spółdzielni? Czy myśmy tylko ugrzęźli w domowych pieleszach? Filistrzejacy smakosze, obudzcie się! Rewolucja trwa! Spółdzielnia to broń!... Sedno sprawy tkwi w tym, w czyich rękach znajduje się ta broń i przeciw komu będzie skierowana.

Jan Aleksander Król



Tbilisi — stolica. Gł. gmach w Parku Kultury i Wypoczynku im. Stalina

giego w kraju, jego mądra i dalekowszłą politykę, próby zjednoczenia pod wspólnym berłem pięciu niezależnych państw gruzińskich. Okoronowaniem zwycięstwa Saakadze są przeprowadzone przez niego reformy, łagodzace feudalny wysysk ludu i zmierzające do ukształtowania nowego oblicza gruzińskiego państwa.

2.

Książka Antonowskiej jest raczej epopeją azaurską — książką niż wielką, epicką próbą ukazania losów dołów społecznych. Autorka demaskuje intrzygi książęce, obłudną politykę cerkwi dążącą do hegemonii w rozbitym i osłabionym

państwie, ale wizerunek ludu gruzińskiego jest zaledwie nazki-cowany. Feudalny świat Wschodu dostrzegamy w wizji Saakadze i Szadimaga, ale nie poprzez przyzmat życia i walki gruzińskich chłopów. Przedstawiciele ludu występują w książce niesłyszanie rzadko.

Te luki nie przeczą jednak faktowi, podkreślanemu przeze mnie na początku, że powieść Antonowskiej stanowi niewątpliwie jedno z największych osiągnięć literatury radzieckiej, osiągnięć młodej, socjalistycznej literatury gruzińskiej, której wybitni przedstawiciele nie jeden raz uzyskali najwyższą nagrodę państwową (np. Grzegorz A-baszydze „Lenin i Samgori”). Kraj „złotego runa”, mitologiczne miejsce pokuty Prometeusza, źródło wielu legend — Kaukaz, doczekał się realistycznego wizerunku w powieści Antonowskiej, sięgającej do najgłębszych tradycji starej kultury gruzińskiej, do istniejącej już od IV wieku literatury. Dziś, kiedy myślimy o Gruzji jako o ojczyźnie Wielkiego Stalina, kiedy dobiegają nas wieści o gigantycznych budowach komunizmu, przeobrażających bagna chłochidkie w urodzajne plantacje herbaty, kiedy szerszym o potężnych zaporach wodnych i elektrowniach gruzińskich — warto sięgnąć wstecz i w odległej przeszłości odnaleźć tych, których najszlachetniejsze dążenia są w socjalistycznej ojczyźnie realizowane po stokroć!

Alicja Lisiecka

*) A. Antonowska: „Wielki Mouraw” Warszawa, 1951—1952. Czytelnik, przedr. 1953. I. M. Monogidowa, cz. II M. Dab. Mouraw — urzędnik carski.
1) Mesepe — najbardziej upośledzona warstwa chłopów gruzińskich.
2) Azaurowie — szlachta gruzińska.
3) Amkstru — organizator ziemiełników i kupców (cechy)

Co mówią spółdzielcy o opowiadaniach Antonowa



LUDWIK MAJ

O NOWYCH LUDZIACH

PIĘKNE opowiadania Antonowa zebrane w książkę pt. „Drogami suną maszyny”, to obrazy przemienionego życia radzieckiego, w którym wyrasta nowy, szczerzy, dumny człowiek. Ludzie radzieccy żyją już nie „podwórkowym” życiem, ale własne sprawy zarówno materialnie jak i uczuciowo umieją podporządkować dobru społecznemu. Jakim kontrastem oddają się nowe życie, myślenie i czucie w zwierciadle starego porządku! Stary Sawieljicz (opowiadanie „Wiosna”) zwierając się sąsiadom wspomina swoją młodość, swoją nieboszczkę żonę. Jego ożenek to obraz stosunków, w jakich był człowiek pracy w ustroju wyzysku. O połączeniu się kobiety z mężczyzną w małżeństwie decydowały wówczas warunki majątkowe, pozycja społeczna, a nie serce. Jakże odmiennie uклада się życie Wasi i Niuszy. Ich uczucie wyrasta na szlachetnej podstawie wspólnej pracy, wspólnych zainteresowań. Ludzie, którzy potrafili bohaterstwo pracować dla ojczyzny, potrafili także kochać i między sprawami osobistymi i społecznymi nie n. a. dla nich rozdzielić, co więcej, sprawy społeczne stoja na pierwszym planie. Jest taka charakterystyczna scena w opowiadaniu „Wiosna”. Podczas spaceru z Lolą, młodą dziewczyną, która bardzo zabiega o względy przewodniczącego, Wasia znajduje pokład torfu. W jednej chwili zapomina o swej towarzyszyce, o spacerze i biegnie zawiadomić o odkryciu, które przyniesie kolchozowi ogromne korzyści. Dobro społeczne jest bowiem najwyższym prawem dla człowieka radzieckiego.

Ustrój stary nie tylko dlatego był zły, że wyzyskiwał, krzywdził i trzymał w zacofaniu masy pracujące, ale również dlatego, że podporządkowywał stosunki między ludźmi wilczemu prawu egoizmu i wyzysku, moralności: „tóra nazywano „chrześcijańską”. W naszej wiosce (zresztą nie tylko u nas) podstawą zawarcia małżeństwa uprawniała zwyczajami były morgi. Mogła być na wsi dziewczyna urodna, pracowita, dobrego charakteru — jeżeli morgów ni miała, mogła latami czekać na małżeństwo. W najlepszym razie stary wdowiec „uszczęśliwiał” młodą dziewczynę wprowadzając ją do domu oficjalnie jako żonę, a praktycznie jako bezpłatną służbę.

Dziewczyna, która posiadała taki taki majątek, była „szczęśliwa i rozrywana”. Mogła być niedorozwiniętym małżonkiem, zdeprawowaną dziewczką, a płoty koło jej domu ważyły się pod naporem ubiegających się o jej... morgi konkurentów.

Pamiętam, jak wychodziła za mąż córka mojego sąsiada. Młody kandydat na męża całą noc prowadził targi z przyszłą teściową o zagony. Teściowa podnosiła ilość poletków w trakcie handlu, gdyż kandydat był dobrą partią, a dziewczyna przysługiwała się temu wszystkiemu. Na koniec, z powodu dużych wymagań teściowa ostatnich zadań nie mogła spełnić — miała więcej dzieci. Targi o żonę nie doszły do skutku. W tym samym dniu młody „kupiec” wyhandlował żonę wraz z morgami w „inny” domu.

Nasz nowy ustrój zlikwidował ten

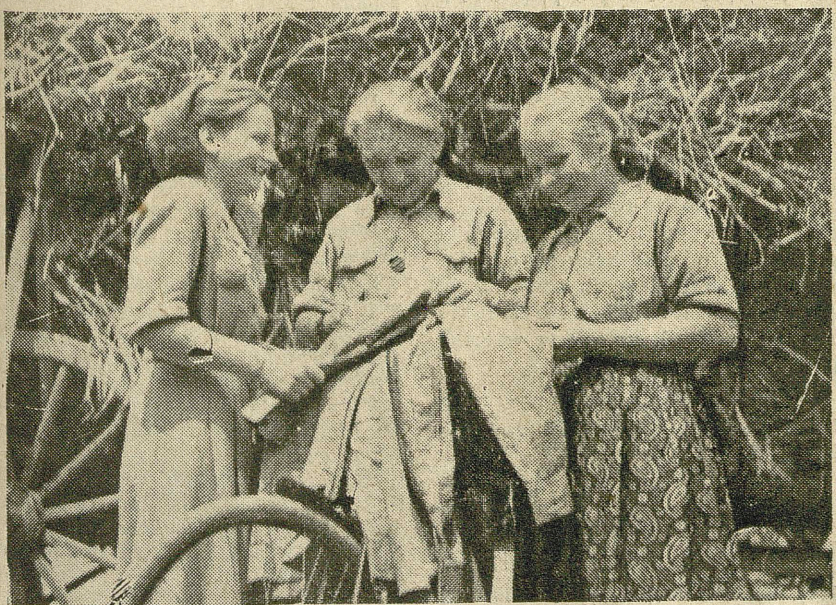
haniebną zwyczaj. Wyłom w zwyczajach raz zrobiony szybko się rozszerza. Jeszcze usiłowało to stare panować na wsi, wstrzymywać postęp. Najpierw biedniaka młodzieńca, ta skazana warunkami ekonomicznymi na hańbiący przetarg „płynęła w „dolinie” do przemysłu i zaczęła drwić z „morgowych ożenek”. Szun-u i zgorzenia wśród starszego „kmięcego” społeczeństwa w naszej wiosce narobiła wiadomość, że syn „gazdowski” Trzopa zamyśla się żenić z córką biedniaka z Małej Sidzinki. Ale już stare zwyczaje nie miały siły powstrzymać Trzopy od ożenku z tą, którą pokochał. Ju’ świat nie był deszczem zabity — młodzi pojechali do przemysłu, wzięli ślub i żyją dobrze, a pracują jeszcze lepiej.

Dzisiaj już nie „morgi”, nie ilość wypitej wódki, zdolność do awanturnictwa, ale przodowanie w pracy, inteligencja, patriotyzm, decydują o wartości młodzieży. Taka jest bohaterka opowiadania „Lena” — człowiek, który został ukształtowany przez życie radzieckie. Taka młodzież, porwana gorącym zapałem tworzenia bohaterstwa, jest u nas. Trzeba ją widzieć, trzeć o niej piasek. Trzeba pisać o jej uczuciach, o miłości, o przyjaźni, o nowych stosunkach między ludźmi, które tworzą się w społeczeństwie socjalistycznym.

W nowych naszych warunkach zmienia się nie tylko młodzież. Decydująca ogólnika kolchozowego, Dmitrija Akimowicza (z opowiadania „Sad”), o przeniesieniu sadu, w który włożył całą swoją duszę, swoje życie, byłaby nadzwyczajnym bohaterstwem, ale w starych warunkach. W nowych, w których ogrodnik żył już kilkadziesiąt lat, egoizm kapitalistyczny ustąpił gorącemu przywiązaniu do radzieckiej ojczyzny. Tak człowiek — w kolchozowych warunkach — wyrasta. Czy to dziwne? Nie. Wszędzie tam, gdziekolwiek buduje się socjalizm, kształtuje się nowy człowiek i nowe ludzkie uczucia.

Jeszcze rok temu byłoby nie do pomyślenia dla kogośkolwiek członka naszej spółdzielni produkcyjnej w Sidzinie mówić o bezinteresownym odstąpieniu paru arów ziemi dla wspólnego dobra. Kłótnie o miód, o parę centymetrów ziemi, wlokły się latami „u rozmawiając” procesami życia naszym chłopom. Aż tu nagle członkowie naszej „Nowej Sidziny” uchwalać dać bezpłatnie pół hektara ziemi pod budowę remizy strażackiej, gdy jednocześnie indywidualni „kmięcie” żądają od straży czterech tysięcy złotych za jeden ar ziemi. Co przemieniło członków naszej RZS przez tak niedługi czas trwania spółdzielni? Zjednoczeni biedniacy czują w sobie nową siłę, powiew nowego, radośniejszego życia, które już nie będzie zatrważane kłótniami i bijatykami o miód. Ten kontrast — w jednej wsi — nieodłącznie związany jest z budowaniem socjalizmu. W socjalistycznych warunkach tkwi tajemnica bohaterstwa, postawy milionów kolchozników w Kraju Rad, w którym decyzja ogrodnika Dmitrija Akimowicza wywodzi z powszechnej już postawy ludzi radzieckich.

Sidzina, pow. Myślenice



GŁÓWNYM celem pisarza radzieckiego jest czynna walka za pomocą środków sztuki przeciwko uszyszkiemu, co obumiera i co się przeżywa, jest czynna pomoc w naszym marszu naprzód, aktywne poparcie nowego „— pisze Stergiej Antonow w swoich listach o noweli (Literatura Radziecka nr 5, 1953). Stary Sawieljicz z opowiadania „Wiosna”) nosi w sobie resztki dawnego, starego sposobu myślenia, reprezentuje sobą, podobnie jak tchórzliwy wobec nowego przewodniczący Paweł Kirilowicz lub biurokraci z rejonowego wydziału rolnego (opow. „Lena”) to, „co obumiera, co się przeżywa”. Ale przecież centralnymi postaciami tych dwóch opowiadań są Wasia, Niusza i Lena — przedstawiciele wspaniałej młodzieży radzieckiej, która cel i radość swego życia widzi w niepowstrzymanym dążeniu naprzód, w usilnym wzbogaceniu nowego życia swojej ojczyzny. To jest to nowe, o co czujny, związany ze swym narodem pisarz walczy najcenniejszą bronią, mądrą, bliską ludziom twórczością. Opowiadania Antonowa są pięknym przykładem takiej twórczości i nasz, polski czytelnik nie przejdzie z pewnością obojętnie koło niej.

W jednym z poprzednich numerów drukowaliśmy obrazek z dyskusji nad opowiadaniem „Wiosna”, zachęcając czytelników do nadsyłania uwag o opowiadaniach Antonowa. W bieżącym numerze zamieszczamy pierwsze wypowiedzi. Świadczy one o tym, że utwory Antonowa i zawarte w nich problemy pobudzają do wielu przemyśleń, dają możliwość porównania jak te same zagadnienia wyglądają u nas, a jak u Związku Radzieckim. „Napisać małe opowiadanie to nie znaczy wyrazić małą myśl. Mała nowela to wyrażenie wielkiej myśli za pomocą najbardziej oszczędnych środków wyrazu”. To zdanie Antonowa znajduje głębokie uzasadnienie w wielości poważnych zagadnień, jakie nasunęły się autorom poniższych wypowiedzi. Antonow pokazuje nam ludzi, którzy na najmniejszym nawet odcinku swojej pracy widzą jej wagę i konsekwencje i czują odpowiedzialność za nią przed całą rozległą ojczyzną, przed wszystkimi ludźmi. Ludzie ci walczą z uporem o nowe, nie boją się przeszkód.

Niusza i Wasia w inny, nowy sposób odnoszą się także do siebie, głębiej, bardziej szlachetnie kochają, gdyż cenią w sobie nie urodę tylko, nie bogactwo, ale charakter, mądrość, bohaterstwo pracy. Opowiadania Antonowa są zatem wyrazem walki o nowy kraj człowieka, który przeobrazi nasze życie i sam w tym nowym życiu wyrośnie. Ta piękna książka jest dla nas realną pomocą w tej walce, gdyż daje nam wzór i przykład a zarazem pozwala dostrzec zarodki nowego w naszym własnym życiu. O tym mówią poniższe wypowiedzi. Jesteśmy przekonani, że dyskusja nad Antonowem na nich się nie skończy.

REDAKCJA

*) Antonow — „Drogami suną maszyny”, Książka i Wiedza, 1952, str. 253. Z rosyjskiego tłumaczyła Zofia Łapicka.

JAKUB ADAMCZYK

NIECH PRZECZYTA MŁODZIEŻ...



Członkowie zarządu spółdzielni produkcyjnej Wola Zarecka: Zuzanna Knaż i Antoni Szewc.

Książka Antonowa „Drogami suną maszyny” bardzo mi się podobała. Wydaje mi się, że takie opowiadanie zbioru jak „Wiosna”, „Sad” i „Lena” dają wierny obraz radzieckiego człowieka. Nie byłem nigdy w Związku Radzieckim, ale miałem możliwość poznać osobie młodzieży radziecką w 1945 r. Mieszkały u nas w domu na kwatery dwie kobiety: starszy sierżant Marusia i „tłotia” Dunia. W pobliższym majątku kwatrowałem również paręset żołnierzy. Poznałem ich bliżej i często rozmawiałem z nimi. Każdy z nich pragnął jak najszybciej, gdy tylko skończy się wojna, wrócić do domu, do odbudowy kraju. Podziwiałem ich zapał, ich ambicję osobistą, odpowiedzialność za losy ojczyzny.

W opowiadaniach Antonowa znajduję tę samą młodzież. Znalazłem w nich także wiele rzeczy, których możemy się nauczyć od bratniego narodu, które są dla nas cenne i pożyteczne. Weźmy na przykład opowiadanie „Wiosna”. Bardzo mi się podobał jego bohaterowie. Wasia, nowo-wybrany przewodniczący kolchozu, zdaje sobie sprawę z tego, jakie ma obowiązki, jaka odpowiedzialność na nim ciąży. Ale Wasia rozumie też, że poza planem trzeba widzieć człowieka, otoczyć go opieką, wychować, brzygdzić, przełać w nich entuzjazm. Wówczas i Wasia będzie łeży, bo praca będzie kolektywna: odpowiedzialność zbiorowa, a zadanie gospodarcze wykonanie się terminowo. Dobrze więc zrobieł Wasia, kiedy powiedział Niuszy: „I ty Niusza, jako komsomolka, musisz wszędzie wlebiać nos i za całą swoją brygadę odpowiadać”.

Antonow uczy, że widzieć plan, zadanie narodowe, to znaczy dostrzegać i wychowywać człowieka, a to jest dla nas bardzo ważna wskazówka, bo my sami nie zawsze umiemy dbać o to.

Stary Sawieljicz opowiada w „Wiosnie” śmieszna, ale prawdziwa historię swoich amarów — kiedy brzydka naręczona dostała w spadku młyn, nagle wydała mu się ładna, ponieważ Łogactwo zaślepiło go. Takie historie w dawnych, kapitalistycznych czasach były na porządku dziennym. Sam byłem świadkiem podobnych wydarzeń. Był u nas w majątku robotnik, którego swatano z panną blisko czterdziestoletnią, brzydką, ślepą na jedno oko, ponieważ ona rozgłosiła, że ma woreczek złota. Interes przedko ubito i za tydzień odbyło się jego we-

sele ze złotem. I ta: za 10 carskich rubli w złocie sprzedał się człowiek na wieki. Ale dziś się i to zmienia. W 1947 roku przyjechał do naszego PGR do pomocy traktorystę młody chłopak, lat może 17. Dobry to był chłopak, wesoly, grzeczny, należał do organizacji zetemowskiej. Niedługo awansował na traktorystę, normy wyrabiał, aż miło. W tym czasie przyjechała do wsi rodzina Mielników z córką Gienią. Zetemowcy wybrali ją na brygadzistkę polową. Robota szła, bo Gienia miała posłuch u młodzieży. Traktorysta poszedł do wojska, był dobrym żołnierzem, przydzielono go do szkoły lotniczej, gdzie awansował na porucznika. Ale nasz porucznik nie zapomniał o nas, przyjeżdżał zawsze na urlop, nie zadzielał nosa, a na dowód tego ożenił się z Gienią i zabrał ją do Warszawy.

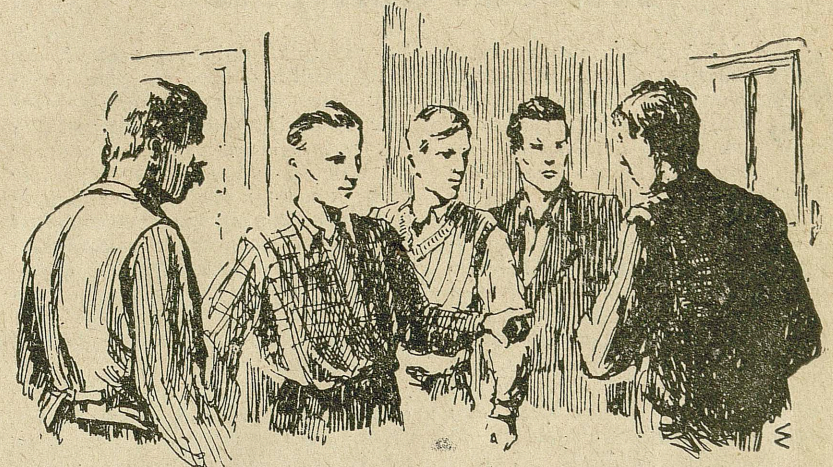
Niusza pokochała Wasię także nie za bogactwami i złotem, ale dlatego, że widziała jakim wartościowym jest człowiekiem. Widziała, że idą po wspólnej drodze, że może mu ufać i wierzyć. Pisarze radzieccy napisali tyle książek o takich cechach nowego, radzieckiego człowieka. Pięse o tym i Antonow. Ale czy i u nas nie ma takich ludzi, czy o tych nie powinni opowiedzieć nasi pisarze?

Z opowiadania pt. „Lena” także można się wiele nauczyć. Bardzo mi się podoba postać Dementiewa. To jest prawdziwy wzór uczoności, agronoma. Naraził się na nieprzychylną opinię w rejonie, a mimo to walczył o lepsze urodzaje, nie wdał się w papierkową robotę, tylko pomagał ludziom na miejscu, brał odpowiedzialność na siebie, radził, zachęcał do dzieła. Kiedy Lena nie grał wytyłki jej pszenie, jej dumę, jej chłubę, Dementjew okazał się uczynnym w pełnym tego słowa znaczeniu. Powiedział: „No nie, Leno, że tu grad wybił, ale w innych kolchozach nie wytyłki i wszędzie gdzie twój wynalazek żyje, przynosił więcej ziarna dla państwa”.

Jakie z tej historii płyną dla nas doświadczenia? Mieszkam między PGR-ami i widzę, że ruch racjonalizatorski jest u nas jeszcze w powłokach. Nie ma u nas jeszcze metody krzyżowego siewu, nie ma młoczinowców. Trzeba by robić doświadczenia, aby osiągnąć większy plon niż 24 kw. z ha, tak jak dotychczas. Do tych prac trzeba wciągnąć młodzież, trzeba, aby brała ona przykład z młodzieży radzieckiej. Czy są np. tworzone zetemowskie brygady polowe, tak jak komsomolskie? Utało się u nas przekonanie, że dla młodzieży awans społeczny otwarty jest tylko w mieście, a na wsi coś młodzież może zobaczyć — tylko gnój i rolę. Moim zdaniem jest to bardzo fałszywe pojęcie. Prezes Rady Ministrów tow. Bolesław Bierut powiedział na I Kongresie Spółdzielczości Produktacyjnej, że na wsi otwierają się szerokie możliwości pracy dla młodzieży, więc trzeba już dziś uświadamiać, jakie ją czekają zadania i wskazywać perspektywę przyszłości.

Książka Antonowa pokazuje właśnie jaką rolę odgrywa młodzież radziecka w swojej ojczyźnie. Radziłbym w każdym PGR-ze i w każdej spółdzielni produkcyjnej przeczytać tę książkę. A zwłaszcza niech przeczyta ją młodzież.

Brusiny, pow. Susz



Rys. Stefan Szmidt

TADEUSZ PAPIER

KOWALE

WIERZBICKI już trzy razy zachodził do kuźni. Za każdym razem zastawał ten sam widok: w drzwiach wisiała wielka żelazna kłódka, leniwy wiatr poruszał cicho drewnianą okiennicę. Palenisko dawno wystygło, czuć było tylko swąd, jakby po zagaszonej pożarze. Stał niezdecydowanie przed kuźnią i zaklął ze złością:

— Tak to się umawiać z młodymi!

Przed Złotem Młodych Przewodników Pracy w Warszawie zetemowcy z Olszowa powzięli zobowiązanie, że pomogą Gminnemu Ośrodkowi Maszynowemu w naprawie maszyn do młócenia. Młodzi wzięli na siebie prywatne młocarnie, które miały być później użyte w ramach pomocy sąsiedzkiej. Wierzbiński trzy dni czekał na zapowiadzaną pomoc, ale na próżno. Przyszedł więc dzisiaj rano i oto stoi przed zamkniętą kuźnią. Nie może nawet poskarżyć się nikomu, bo ludzi nie widać na lekarstwo. Taka historia! Z nieba spływa żar, żyto czeka w stodole na młockę, lada dzień trzeba ciąć pszenicę, a młocarnia jak stała, tak stoi.

Zawrócił do wsi. W polowie drogi do świetlicy napotkał Antośkę Podsiadlikównę. Ucieszył się, bo jej brat pomagał czasem staremu Kuszowi w kuźni. Zastąpił jej drogę.

— Brat w domu, czy wyjechał?

— Macie pilną robotę?

Wierzbiński zmarszczył gniewnie nos. Rzucił dziewczynie ostre spojrzenie.

— Kuźnia zamknięta!

— Bo pojechali na gminę.

— Pojechali?

— A no! Naprawiają te młocarnie. Zniwa na ukończeniu!

— Żeby to!

Teraz z kolei dziewczyna spojrzła na niego ze zdziwieniem.

— Wam to się nie podoba?

Wierzbiński skrzywił się lekko.

— Od tygodnia czekam na tę waszą pomoc!

Widząc na twarzy dziewczyny ten sam wyraz niezrozumienia, dodał:

— Obiecaliście jakieś mechanika czy kowala, młocarnie mam zepsutą, chętnie, nieprawdaz, zapłaci, ale wciąż czekam na niego i co? Czas leci, maszyna czeka, a wasze zobowiązanie psu wartość.

Dziewczyna spoglądała przez chwilę na zającą się twarz Wierzbińskiego, na jego zmrużone oczy, pofalowane czoło.

Niektórzy są w świetlicy... Chodźcie, pogadamy — odparła niepewnie. Był zaskoczona tym, co usłyszała od Wierzbińskiego.

*

Dzisiaj nie było dobrego nastroju w świetlicy. Przewodniczący Zazimek zwołał nagle zebranie koła, gdyż wyglądało na to, że młodzi nie wzięli się za swoje zobowiązania. Doszła już do nich wiadomość, że w sąsiednich Łękach chłopcy wyśmiewają się z Wierzbińskiego, który nie może doczekać się przyobiecanej mechaniki.

— Tak to z tymi zobowiązaniami, tylko na papierze! — mówił.

Czoło Zazimka chmurzyło się coraz bardziej. Przed nim siedział Sowa, wychowanek kowala Kusza, winowajca — jak go już zdążyli przezwad. On to bowiem miał zająć się naprawą maszyn Wierzbińskiego. Sowa nie bardzo przejmował się sytuacją.

— Kiedyż to miałem być u Wierzbińskiego? — zapytał.

— Wczoraj! Przedwczoraj! Od tygodnia czekają na ciebie!

Sowa opuścił głowę. Ale nie ustępował jeszcze.

— Czyżbym to ja miał naprawiać? Może... A no tak! — znów uśmiechnął się tak, że w innych kolekcjach wszystkich by rozbroił. — Teraz przynajmniej moja wina! Rzeczywiście, wczoraj musiałem dorobić te trybiki do motoru.

— Trybiki dorobił. Podsiadlik przed tygodniem.

Sowa zacerwienił się mocno. Sprawa przybrała nieprzyjemny obrót. Skąd Zazimek tak dokładnie zna każdy krok, który człowiek zrobił? Patrzcie, jaki c. try!

— W Siemienicach i Strzegocinie już młocką — bąknął usprawiedliwiająco.

— Tam młóci Gminny Ośrodek Maszynowy.

Sowa podniósł głowę do góry.

— To nie wszystko jedno?

Ale z izby posypał się, okrzyki:

— Nie wszystko jedno!

— GOM nie obsługuje wszystkich!

Trzeba mu pomóc!

— Człowieku! Skup zboża!

— A zobowiązanie gdzie?

— Zmówił się z kim, czy co?

Sowa na przemian błądził i czarniał. Nie stracił jeszcze zwykłej pewności siebie, choć był już coraz wyraźniej zakłopotany. Oczy uciekały w bok, spoglądały niespokojnie.

W otwartym oknie mignęła nagle wazata twarz Wierzbińskiego, a tuż za nią czarna, opalona twarz Antośki. Młodzi uciśnili się. W parę sekund potem w drzwiach stanął Wierzbiński. Obrzucił wszystkich niepewnym spojrzeniem. Otarli wsi jakby chcą sobie dodać odwagi i chrząknął głośno. Obejrzał się na Antośkę.

— I co? — spytał wreszcie Zazimek. — Ponocież? — Widząc zaś, że Zazimek zwleka z odpowiedzią, dorzucił szybko:

— Przewodniczący Gminnej Rady mówię, że pomożecie.

— Co ma do tego, przewodniczący! Powiedzieliśmy, że zrobimy, to zrobimy! — wyrwał się nagle Sowa.

Przyjście Wierzbińskiego jakby dodało mu otuchy. A może chciał wykorzystać okazję, że przecież przy obym nikt nie odważy się poruszać przyrządy, wewnętrznych spraw koła. Podniósł się z ławki, odgarnął włosy z czoła, spojrział porozumiewawczo na wszystkich, jakby rzecz nie podlegała najmniejszej dyskusji.

Jednak uwaga Sowy nie uspokoiła Wierzbińskiego. Chłop przestępował z nogi na nogę i zdawał się być coraz więcej zakłopotany.

— No jak, chłopcy, tym razem przyjdzie? Dobrze?

Antośka spojrziała na starego. Jeszcze przed paroma minutami tak się odgrażał, że nauczył tych młodych szanować dane słowo, a teraz stoi nieśmiało, jakby oczekiwał na wyrok.

— To już wszystko załatwione? — spytała Sowa z przekąsem.

— Wiadomo! — znów się wyrwał Sowa. — Jeszcze w tym tygodniu ruszycie z młocką. Maszyna tylko będzie grała: ciach, ciach, ciach!

Roześmiał się, jakby powiedział jaki dowcip. Ale Zazimek rzucił ostro:

— Bedzie grała ale bez ciebie.

— A to dlatego?

— Już kilka razy nas zawiodłeś. Nie możemy się narażać na drwinę. A robotę musimy wykonać.

Niski pucioławy Gębica odezwał się z przekąsem:

— Zobaczysz, jak my to zrobimy!

— Może chłopcy, trochę za ostro? — próbował łagodzić Wierzbiński. Wskazał palcem na Sowę.

— To dobry kowal!

— Podsiadlik taki sam!

— Jakże to? — wtrącił się wreszcie Sowa. — To ja mam zostać na boku? — głos mu zachrypiał nagle.

Zazimek spoglądał na niego twardo.

— Przypatrywałeś się dotychczas...

— Wykluczacie mnie z zobowiązań?

Zazimek podszedł do niego. Był dużo niższy od Sowy, musiał zadrzeć głowę do góry, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

— Damy ci inną robotę.

— Obejdzie się...

Usnął widać, że dość tłumaczyć. Nie patrzając nikomu, pocął pośpiesznie zmierzać ku wyjściu. Wierzbiński czynił ruch ręką, jakby się chciał z nim pożegnać, ale Sowa tego nie zauważył. Wyprostował się, głowę podniósł do góry, z każdego kroku biła taka hardość, jak gdyby mówił. Popamiętajcie wy mnie jeszcze!

Tadeusz Papier

*) Fragment z tomu opowiadań, który ukazał się nakładem wyd. „Iskry”

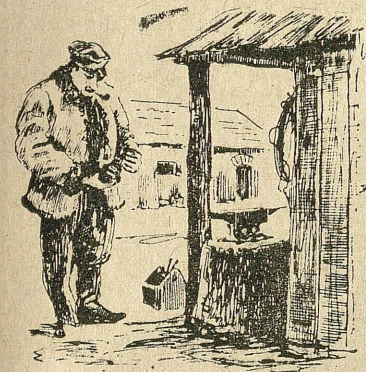
HENRYK WORCELL

RAZEM DO WALKI O NOWE ŻYCIE

(Dzieje III etapu Konkursu Czytelniczego, opisane ułernie w gromadzie Zdarzyce Dolne - część piąta)

ZBLIŻA się połowa lutego. Niepokoi mnie szybko mijający czas. Gdy siedzę w domu gda mi się, że konkurs stoi w miejscu, we wsi, nic się nie robi, toteż późnym popołudniem wychodzę z domu, idę do Rucińskich lub do Puławskiej, odwiedzam też pojedynczych konkursistów. Z zalem dowiedziałem się, że młody Dobraniecki z O'rodka Maszynowego skończył kurs starszego mechanika i przeszedł na kierownicze stanowisko do POM pod Dziewanowem — ubył ze wsi prawdziwy aktywista, partyjny, przodownik pracy, racjonalizator. Zwykła kolej rzeczy — awans społeczny — niech wieś wyda nowego aktywistę spośród młodych. Może zetempowiec Krasica dorówna tamtemu, zajmie jego miejsce? Ale czy Dobraniecki będzie pamiętał przysięgę mi obiecaną wypowiedzieć na temat Konstytucji? Odwiedziłem jego ojca, kierownika O'rodka Maszynowego, o którym ub roku pisałem obszerny reportaż we „Wsi”. Staruch ciągle rusza się żwawo na swej protezie i ciągle doskonali swój warsztat, toteż ile razy mnie spotka, zaprasza, by mi pokazać różne części maszyn, które udało mu się wykonać własnym sposobem. Poczuwa się do obowiązku informowania mnie o każdym swym osiągnięciu. — Panie, ja lubię jak ktoś moją robotę ocenia, ja chcę, żeby się tym ośrodkom ktoś interesował, żeby ludzie widzieli, co ja tu robię. Ja chcę, panie, ja chcę.

Pytam o syna. Stary pyka fajeczkę i mruga — w ten sposób wyraża swe zadowolenie z chłopaka, który, nie bardzo jeszcze opierzonny, wyrzucił z rodzinnej gniazda do lotu po tytuł Budowniczego Polaki Ludowej.



A wczoraj byłem u Puławskiej. Zebrali tam kilka osób, był Modera, był Pankiewicz, był zetempowiec Krasica i Potyrała i jeszcze kilka dziewczyn, później przyszła stara Potyrałowa. Zawyczała na takich półoficjalnych zebraniach rozmowy przybierają dość nieciekawy obrót — tak i tym razem. Czytaliśmy fragmenty z „Czerwonego Mortena” i Pankiewicz dziwił się, że w Danii taka nędza wśród robotników.

— To musi być prawda, bo przecież pisze o tym Duńczyk. A niektórzy ludzie opowiadają, że robotnik w Danii tak dobrze stoi.

— Kto opowiada?

— A choćby nasz sąsiad Macieł

nie może się nachwalić, jaki tam porządek i dobrobyt.

— A czy on tam był? — zapytał Krasica.

— Nie, skądże? Ale dla niego wszystko, co na Zachodzie — dobre. Tu mamy więcej takich zwolenników zachodniego wiatru — wtrącił Modera. — Tu nawet są tacy, co chwala hitlerowców, że niby co do samego „Ordnung” to organizatorzy. O, taki Kajmer... — Tak — wykrzyknął Krasica — świetnie organizowali obozy śmierci.

— Ja nie rozumiem — rzekł znów Modera — co ci ludzie sobie myślą? Czy oni tacy głupi, że naprawdę wierzą w to, co mówią?

— Oni nie głupi — odpowiedziała mu Puławska — tylko tak chytrzy, aby innych zbić z tropu.

— Jakto? Czy oni nie wiedzą, że jakby znów faszyści doszli do władzy, to by ich też przygnietli?

— Nie, bo taki wyskok myśli, że jak się zgłosi do nich na służbę, to mu będzie dobrze.

— Ale jak się zgłosi do nich na służbę, to przecież naród będzie gnębił. A do tego trzeba mieć katowską naturę.

— Ano, widzisz — przytaknęła Puławska — tak to jest. I kto nie jest za socjalizmem, ten nie chce dobra dla ludzi i dla narodu i musi mieć w sobie coś katowskiego.

— Ale przecież podobno są tacy, co nie chcą ani kapitalizmu, ani socjalizmu, tylko coś takiego pośredniego.

— To już głupota! — wtrącił się Pankiewicz. — Przecież bez dyktatury proletariatu kapitalizm nijak się nie zwalczy. A jak się nie zwalczy kapitalizm, to zawsze będzie wyszły i gnębienie narodu. Daleko szukać? Daj wolność takiemu Maciele, to on ci pokaże, czym kapitał pachnie. Nureczka przy zwłoczce łodu okradł na 700 złotych i ani okiem nie mrugnie.

— To czemu Nureczek nie zaskarży do sądu? — zapytała córka Puławskiej, Zofia.

— Bo głupi! I przez takich głupich opóźnia się socjalizm.

— A może on się boi Maciły?

— Zostu — odpowiedziała jej matka — to na jedno wychodzi. Boi się z głupoty.

— Prawda — potwierdził Pankiewicz. — Bo jakby się tak wszyscy bali, to by do dziś światem cary rządziły. Jak ja czytam o Dzierżyńskim, to mnie aż... Tyle razy siedział w kryminatach i na zesłaniach był, a ciągle się buntował. I tacy ludzie popychają świat naprzód.

Wesła stara Potyrałowa, sucha, przysgarbiona i milczkiem usiadła przy piecu obok dziewczyn.

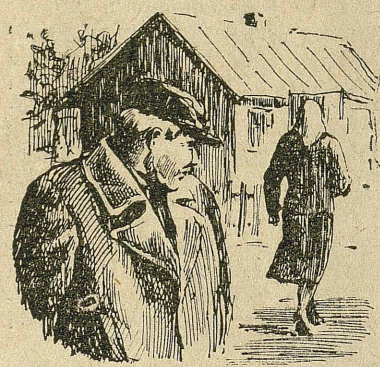
— Co, matuś, powiecie? — żartobliwie zwrócił się do niej Modera.

— Popychacie świat naprzód, a biedę odepchać nie możecie — odpowiedziała gniewnie, przechylając pomarszczoną, zbiedzioną twarz gdzieś w bok.

— A co, matuś, o co wam chodzi?

Przez dłuższą chwilę nie chciała nic powiedzieć, wreszcie sięgnęła gdzieś w zanadrze i wyciągnęła papierek przysłany z GRN o dostawie

zaległych 60 kg żyta i 4 q ziemniaków, z dopiskiem u dołu, że w razie niedostawienia ww. produktów obywatelce Potyrałowej grozi grzywna 3.000 zł. Zaczęliśmy sprawę analizować i oto, co się okazało?



Potyrałowa, właścicielka 3 ha podmokłej, kamienistej ziemi, leżącej w górze pod lasem, a zaliczonej, nie wiadomo jakim cudem, do klasy 3, miała zdać na jesieni 6 q zboża i 14 q ziemniaków. Zdala tylko 5,40 q zboża i 10 q ziemniaków, bo więcej nie mogła. Żyła do siewu jej starczyło, ale pszenicę musiała kupić za pieniądze uzyskane za pierzynę, którą sprzedawała. Chleb kupowała w sklepie, ziarna dla drobiu nie miała, ziemniaków tylko tyle, że ledwie starczyło do jedzenia i na sadzeniaki.

— Pan jest mądry — zwróciła się do mnie — bo z książkami chodzi, niech pan powie, czemu to tak jest, że ja, co mam 3 hektary kamienia pod lasem, musiałam zapłacić 700 złotych podatku, a taki Macieł, co ma 7 hektarów fajnej ziemi, też 700 zł, a zboża tylko 5 metrów. I ja nie mam ziarna na chleb, a u niego na strychu 20 metrów samej pszenicy i teraz po 300 złotych sprzedaje.

— Matko, my sami temu jesteśmy winni. I ja też. Bo siedzimy spokojnie i tylko patrzymy na takie draństwo.

— My wszyscy jak ten Nureczek! — zawołał Modera.

— A tu trzeba być jak ten Czerny Morten! — dodał Krasica.

— Więc co trzeba robić?

— Najpierw drogą urzędową pismo do Powiatowej Rady.

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— Lepiej do Wojewódzkiej Rady — rzekł Pankiewicz.

— A słyszeliście nowinę? — wtrącił Modera — powiadają, że sekretarza Hrynczuka i referenta Raczkiewicza aresztowano za łapówki. I to grube. A przewodniczący Boczański usunięty.

— O psiko! To jednak wzięli się do nich, wzięli! No, to już nie będą zajeżdżać taksówką do naszego młynarza, Iwanowa.

— To może i nasz sołtys zmienił? I Szyzka też.

— Nie bójcie się, do nich też się dobiórą, tylko pomalutka, pomalutka.

Zaczęło rozmawiać chaotycznie, przekrzykując się nawzajem, ktoś zahaczył o spółdzielnię produkcyjną, że gdyby nie „oni”, to spółdzielnia w Zdarzycach Dolnych już by powstała.

— Najpierw poucicali. Mieli gospodarstwa pełnorolne, to się porzekali i tylko dzierżawia. A sołtys to nawet dwóch hektarów nie ma, całkiem „biedniak”. Jak przyjdzie agitator, to go do pełnorolnych wysyłają: „Idźcie do Modery, do Boruły, do Lichonia, oni grube gazdy, a ja z czym do tej spółdzielni? Z tymi dwoma hektarami?”

— To tak było dotychczas — powiedział Modera. — Ale teraz, kiedy widzą, że my o spółdzielni zaczynamy myśleć to i oni chcą się wciągnąć między nas. I już z góry sobie funkcje wybierają: ten chce być kowalem, sołtys w zarządzie, Kajmer brygadziastą...

— Ale przecież o tym decyduje zebranie ogólne.

— No tak, zebranie ogólne, ale jakoś ludzie się boją. Powiadają: „Jakby spółdzielnię mieli rządzić ci sami, co źle rządzili gromadą, to już wołę po staremu kaparzyć”. I ja panu mówię, że tu nie będzie wczesniej spółdzielni, póki się nie zbierze ze dwudziestu takich, co powiedzą: „My, ale bez sołtysa, bez Maciły, bez Justka...” może się panu wydaje, że to nie trudno, ale...

W tym sęk, że we wsi mało jest takich, co by byli całkiem niezależni. Pan rozumie, jak to jest... Kajmer pożyczą temu 200 złotych, tamtemu 300, to jakże przeciw niemu wystąpić? Macieł odstąpi pszenicę, sołtys załatwi komuś po cichu sprawę u

Szyzki i tak to idzie. Albo weźmy takiego Podsiadłę. Stary, bo stary, ma 60 lat, ale zdrowy i jary, jak sobie podpieje, to za dziewczuchami goni. Korzysta z u- starości, nie dużo zdaje, ale przecież nie on gospodaruje tylko żonaty syn, co siedzi u niego. Tylko że pole nie na syna, ale na starego zapisane, no to wszystkiego mają po uszy, pszenicę

— Późno już było, gdy wyszedłem od Puławskiej, na dworze ciemno, wiatr i śnieg.

W domu żona czekała zaniepokojona — było już po dziesiątej, dzieci spały.

— Ach, z tym twoim łożeniem po nocach... Wiesz, że ja nie mogę spać, a ty siedzisz do północy. Mitrega tu był, chciał z tobą rozmawiać.

— Tak? — ucieszyłem się — jest co nowego?

— A to, że już całe Zdarzyce Górne wiedzą, żeś ty im pisał list do „Chłopskiej Drogi”. Pietrzycki się od kogoś dowiedział.

To było to przewidzenie, tego się nie da utrzymać długo w tajemnicy. Na liście podpisał się sześciu ludzi: Mitrega, bracia Lasone, Bednarczyk, Tryja i Musiałek. Obiecali, że nikomu o tym liście nie powiedzą, bo chodzilo o zaskoczenie Pietrzyckiego, ale widocznie ktoś raś z ton wygadała się.

— I teraz Pietrzycki i tamci inni nie na Mitregę tylko na ciebie są wściekli boś ty, im pisał. Ty zawsze musisz się wnieść, gdzie nie trzeba.

— Jakaś ty niekonsekwentna! Sama nieś wściekasz, kiedy słyszysz o tych łajdactwach, sama mi kiedyś mówiłaś: „jak ty możesz na to wszystko spokojnie patrzeć?” — a dziś...

— A pewnie — przytaknęła Puławska — bo jakby był prawdziwy chrześcijanin, to by więcej o bliźnim myślał. Przecież z tymi dzierżawami to czyste oszustwo na szkodę robotnika. Jakby tak dobrze porachować, to w samych Zdarzycach Dolnych z czterdziestu hektarów najlepszej ziemi ani jedno ziarno nie idzie dla państwa i dla robotnika tylko cały łon do kieszeni tych kombinatorów. I tak podobno bywa po innych gromadach, bo jakże by inaczej, kiedy Szyzka w gminie siedzi?

Wracając do sprawy Potyrałowej: umówiłem się z nią, by przysłała jutro do mnie, wysłamy do wojewódzkiej rady obszernie pismo, w którym przedstawimy nie tylko jej sprawę, ale i ogólną sytuację w Zdarzycach Dolnych.

— A może on się boi Maciły?

— Zostu — odpowiedziała jej matka — to na jedno wychodzi. Boi się z głupoty.

— Prawda — potwierdził Pankiewicz. — Bo jakby się tak wszyscy bali, to by do dziś światem cary rządziły. Jak ja czytam o Dzierżyńskim, to mnie aż... Tyle razy siedział w kryminatach i na zesłaniach był, a ciągle się buntował. I tacy ludzie popychają świat naprzód.

Wesła stara Potyrałowa, sucha, przysgarbiona i milczkiem usiadła przy piecu obok dziewczyn.

— Co, matuś, powiecie? — żartobliwie zwrócił się do niej Modera.

— Popychacie świat naprzód, a biedę odepchać nie możecie — odpowiedziała gniewnie, przechylając pomarszczoną, zbiedzioną twarz gdzieś w bok.

— A co, matuś, o co wam chodzi?

Przez dłuższą chwilę nie chciała nic powiedzieć, wreszcie sięgnęła gdzieś w zanadrze i wyciągnęła papierek przysłany z GRN o dostawie

zaległych 60 kg żyta i 4 q ziemniaków, z dopiskiem u dołu, że w razie niedostawienia ww. produktów obywatelce Potyrałowej grozi grzywna 3.000 zł. Zaczęliśmy sprawę analizować i oto, co się okazało?

Potyrałowa, właścicielka 3 ha podmokłej, kamienistej ziemi, leżącej w górze pod lasem, a zaliczonej, nie wiadomo jakim cudem, do klasy 3, miała zdać na jesieni 6 q zboża i 14 q ziemniaków. Zdala tylko 5,40 q zboża i 10 q ziemniaków, bo więcej nie mogła. Żyła do siewu jej starczyło, ale pszenicę musiała kupić za pieniądze uzyskane za pierzynę, którą sprzedawała. Chleb kupowała w sklepie, ziarna dla drobiu nie miała, ziemniaków tylko tyle, że ledwie starczyło do jedzenia i na sadzeniaki.

— Pan jest mądry — zwróciła się do mnie — bo z książkami chodzi, niech pan powie, czemu to tak jest, że ja, co mam 3 hektary kamienia pod lasem, musiałam zapłacić 700 złotych podatku, a taki Macieł, co ma 7 hektarów fajnej ziemi, też 700 zł, a zboża tylko 5 metrów. I ja nie mam ziarna na chleb, a u niego na strychu 20 metrów samej pszenicy i teraz po 300 złotych sprzedaje.

— Matko, my sami temu jesteśmy winni. I ja też. Bo siedzimy spokojnie i tylko patrzymy na takie draństwo.

— My wszyscy jak ten Nureczek! — zawołał Modera.

— A tu trzeba być jak ten Czerny Morten! — dodał Krasica.

— Więc co trzeba robić?

— Najpierw drogą urzędową pismo do Powiatowej Rady.

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

— A potem...

WOJCIECH DRYGAS I IGOR SIKIRYCKI

„TUTAJ CHŁOPÓW SIĘ OKRADA”

[Część druga widowiska satyrycznego]*

(Sklep gminnej spółdzielni. W sklepie krzątają się kierownik i sklepowa Zosia. Kierownik rozstraja krzesła i robi porządek na pulkach, Zosia zamiata podłogę. Oboje okazują zdenerwowanie.)

Zosia: Dziwna figura z tego delegata z powiatu...

Kierownik: Wściebki to on jest jak jakiś wyzł. Zaczął od akordeonu, na nawozach skończył. Kazał przedstawić sobie jutro listę rozdania nawozów sztucznych... Brrr...

Zosia: Widziane rzeczy! Listy mu się zachciało! A skąd my tę listę wzięliśmy, kiedyśmy jej w ogóle nie sporządzali? Pan kierownik jak zwykle wedle sumienia dzielił...

Kierownik: Jasne, że wedle sumienia.

Zosia: Żeby tylko pan kierownik nie wpadł z tym swoim czystym sumieniem. Temu z powiatu źle z o-czu patrzy. Na wszystkim się zna.

Kierownik: Kubek w kubek podobny do rewizora z tej książki Gogola*, co ja teraz czytam.

Zosia: Tamten rewizor też taki hardy?

Kierownik: O, i jak jeszcze! Chytra sztuka! Każdą najmniejszą kombinację, ot, taką ciupinkę, wywiesz. Aż strach pomyśleć co się stanie z horodniczym, niby z tym sołtysiem. Chłopi, nie powiem, do rzeczy, a że tam od czasu do czasu zrobił coś na lewo, tak jak nieprzymierzając my z tymi wiaderkami, to jeszcze nie żadna zbrodnia. Do jutra pewnie zdąży przeczytać tę książkę. To ostrzegawcza książka, opatrzonociowa... Dopiero wówczas będę dokładnie wiedział, jak trza postępować z takimi rewizorami ze szczebla powiatowego...

Zosia: Może ja pomogę w tym czytaniu?

Kierownik: Lepiej by mi panna Zosia w inny sposób pomogła...

Zosia: Niby w jaki?

Kierownik: Musi go sobie panna zjednać...

* Część pierwsza drukowana była w poprzednim numerze.

Zosia: Kogo?

Kierownik: Tego rewizora, oczywiście! Tak po waszemu, po babsku... (stroi małpie miny). Ładnie się do niego uśmiechać, wywrócić ślepkami, czarować nóżką... Może się na to zlapie? Chociaż diabli wiedzą, czy na pannę spojrzę.

Zosia (oburzona): Co by nie miał spojrzeć? Musi spojrzeć! Miałam jednego Walenciaka, ten wciąż ino na mnie patrzył i byłby się ze mną ożenił...

Zyto (wpada do sklepu): Jak jakiegoś wotu, albo barana do szlachtyza powioda... Już wszystko stracone... (łapie się oburzać za głowę).

Kierownik: Panie Zytko, uspokój się sąsiedzie, co jest stracone? Co?

Zyto: Ten z powiatu lazi po wsi i gada z chłopami. Z tego gadania nic dobrego nie wyjdzie... Już ja wam to mówię...

Kierownik: O czym gadają?

Zyto: A bo ja wiem? Skryłem się w jymniku!

Zosia: Żeby tylko nie o tych wiaderkach i reżnikach...

Zyto: ...i o nawozach sztucznych i tej flaneli i kortowych bluzach...

Zosia: ...i o płótnie i butach gumowych...

Kierownik: Do krośset tysięcy diablów! Zamknęlibyście te niewyparzone jadaczki! Tylko jęczycie i jęczycie...

Zyto: (przedrzeźnia) Jęczycie, jęczycie... Jak tu nie jęczeć, kiedy rewizor na karku? Co ja powiem temu rewizorowi? Był towarzys, wrzanie mi nad uchem, co Zytko zrobił z towarami? Jak dzielił towary?

Kierownik: (z niepokojem patrzy na drzwi) Tsss, ciszej, panie Zytko, ciszej! Całą wieś zwalasz nam na karki! Tsss...

Zosia: Niech się pan Zytko nie denerwuje. Pan kierownik czyta tę książkę o horodniczym, co to nalażywał na niego jeden rewizor i z tej książki dzisiaj w nocy wszystko

wyczyta jak mamy robić, żeby nie wpaść...

Zyto: (placzkliwie) Sumienie, czy niesumienie to u kierownika wychodzi na jedno. A mnie coś mówi, o tu w samym środku (wiska palec w brzuch), że jak wotu albo barana do szlachtyza powioda... dlatego właśnie te wiaderka i te reżniki, co mi pan kierownik dzisiaj wedle sumienia przydzielił, to już odstąpiłem swoim sąsiadom. Tak jak wypadało z listy.

Kierownik: Jak, panie Zytko? Jak? To pan śmiać zdradzać tajemnice służbowe? Zdradziłeś, ofermo, swój urząd?

Zyto: Najważniejsze, że nie zdradziłem chłopów. A panu kierownikowi i pannie Zosi radzę zrobić to samo...

Kierownik: Wody, panno „Zosiu, kulek zimnej wody... (rozlegają się dźwięki akordeonu, wchodzi rewizor, za jego plecami Stach z akordeonem gra marsza).

Kierownik: (kłania się uniesione) Witamy naszego drogiego gościa (do Zosi) Panno Zosiu, krzesielsko dla pana delegata (do rewizora): Prosimy, prosimy... czym chata bogata... Zaraz otworzę buteleczkę dziewczęcego wina. Panno Zosiu, korkociąg...

O twórcach z ludu i twórcach ludowych

WACŁAW PALIK

Wśród ceramików

WCZYTAŁEM się w sporą garść listów, które nadeszły do redakcji od garncarzy-ceramików.

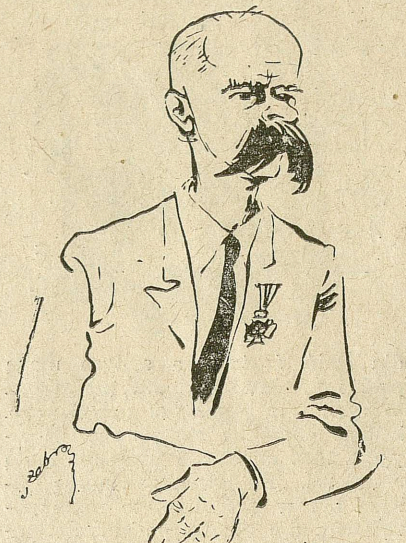
Pierwsze, co chciałbym zasygnalizować, to wielkie ożywienie wśród twórców ludowych tej gałęzi. Większość z nich była na Krajowym Zjeździe, wielu zdobyło nagrody na regionalnych wystawach i konkursach, wszyscy od kilku lat pracują i tworzą na zamówienia „Cepeli”. Wszystko to razem stanowi o przeurocie w położeniu garncarstwa i samych ceramików. Stąd tak wielkie ożywienie. I jakie charakterystyczne. Mielimy wszak w odległej przeszłości na całą Europę sławnych nie mało rejonów sztuki garncarsko-ceramicznej. Mieściła się ona wówczas jeszcze w systemie rzemiosła i była jedną z jego gałęzi. Kiedy więc piszą dziś ceramicy listy z Iłży, Bolimowa, Sieradza, głoszących niegdyś ośrodków, z dumą przypominają świetne tradycje, aby podkreślić, że to co się w Polsce Ludowej zaczyna, oznacza renesans w ich sztuce upadłej w ostatnich wiekach, jak dalece — niech świadczy Konopczyński: „Mieszkam w Bolimowie, do osady można go przyrównać, dawniej zaś miasto tu było, które w naszej historii zapisane jest i poświadczane, że kwitło w nim rzemiosło a największy był cech garncarzy. Dzisiaj tylko ja jeden zostałem”. Niech świadczy Muszyński: „W rejonie sieradzkim jest ledwie kilku garncarzy, choć w Muzeum w Sieradzu pamiętki naszych rękodzieł wskazują na wielki cech”. Niech świadczy Pastuszkiewicz: „Przez konkursy i wystawy Ministerstwa Kultury i Sztuki znów wydobywa dawno zapomniany i niewyrobyony artyzm sztuki garncarstwa iłżyckiego i doprowadził je do sławy, która za nami tamtych średowiecznych czasów, kiedy to Iłża przez ceramików znana była nie tylko w Polsce, ale i na dworach zagranicznych”.

Te wspominki i porównania, sięgające do wspaniałych tradycji przeszłości, dowodzą, że nasi garncarze — ceramicy odczuwają w nowej sytuacji historycznej dla nich przełom. Ten przełom wywołuje ożywienie.

W jakich kierunkach szuka ono ujścia?

Po pierwsze, zwraca się do tradycji artystycznych garncarstwa. W tym zwrócić wyraża się wielka ambicja i twórcza i narodowa naszych ceramików. Sięgają oni do klasycznych, ludowych wzorów. Dzieło swe chcą tworzyć odpowiedzialnie w oparciu o dawne osiągnięcia i z zachowaniem ciągłości artystycznej. Sięgają do tradycji regionalnych, które przez sztukę ludową wnoszą cechy i formy narodowe.

Muszyński odwiedza Muzeum w Sieradzu, aby się dowiedzieć o garncarstwie. St. y. klasyczny motyw zdobniczy w sieradzkim —



Stanisław Pastuszkiewicz — pow. Iłża

daje Muszyński — to poprzeczne linie grubo i drobno faliste, urozmaicone kropkami. Konopczyński wygrzebie bolimowski wzór — symboliczny to ptaszek z gałązką, Ruta łańcuchki — paski dookoła (np. dzbanka) lub zygzaki i kwiaty w ich polu.

Drugi kierunek ożywienia:

Jak nie zrywając z tradycją, zrobić wielki krok naprzód? Jak nie ugrzeszyć w kopiowaniu a tworzyć nowe dzieła?

Tu ożywienie nabiera cech dramatycznych, z czego wyraźnie zdają sobie sprawę ci artyści.

Bo po pierwsze: weźmy np. wątki zdobnicze. Muszyński do sieradzkiego wprowadził motylek, o tyle kanon rozszerzył i wzbogacił, ale nie jest pewny, czy jego wynalazek rozwija wzór, czy go psuje? Kto tu ma prostować i wspomagać próby nowatorstwa?

Sam również motyw sieradzki wydaje się Muszyńskiemu już za wąskim polem działania. Podobnie Konopczyńskiemu — bolimowski. Symbolicznego ptaszka z gałązką wykonał w wielu odmianach i co dalej? Ceramicy wyczuwają, że stare kanony zamknęły ich w geometryczne linie i geometryczne kształty kwiatów. Takie granice sztuce ceramicznej wyznaczyły dawne epoki, tzn. ich ustrojowa, polityczna i ludzka treść życia. A jest przecież możliwe zdobnictwo np. fabularne, z wprowadzeniem obrazów ludzi i scen. Czy można się do niego przetrząść? I jak dokonać tego przeskoku? Kto pokieruje, kto

wskaże drogę? Jak tu zachować i wydobyc zarazem regionalną specyfikę, regionalną formę?

Bo po drugie: gdyby zatrzymać się na formach w ceramice, kształtowanych pod wpływem życia i historii, ale przy jakże trudnych do rozszyfrowania związkach zależności — na kształtach na przykład.

Mamy tu najczęściej garnki i talerze.

Jakimi kryteriami mają się kierować ceramicy, aby tworzyć nowe kształty, nowe ich piękno, a nie naczyły w rezultacie starych kształtów?

Kryteria, to nie to samo co bodźce. Bodźcem stały się dla nich wielkie przemiany w ojczyźnie. Epokowe. Tak je rozumieją, dlatego odczuwają potrzebę wielkiego rozmachu i wielkiego ryzyka w swej sztuce.

Bodźcem stały się zamówienia, które np. wiązały Iłżę z Kielcami, Olsztynem, Pułtusk z Warszawą itd.

Ale wraz z tymi zamówieniami w skali krajowej pojawiają się nowe zakresy. Pastuszkiewicz wspomina o dzbankach, figurkach i płaskach. Oto co przybyło w dziedzinie kształtów. Piotrowski pisze, że Warszawa chce dwa dzbanki, flakoniki, szklanki, misy na owoce, popielniczki, butle, banki do miodu.

Te bodźce otwierają nowe możliwości kształtów, ale jak do nich „twórczo doskoczyć”?

W łańcuchku, gdzie jak np. w Zalesiu „większa część rodzin trudni się garncarstwem — pisze Franciszek Jurek — i dawniej każdy chałupnik sam rozprawiał swoje wyroby po całym województwie, więc wzory dzisiejszego dnia różnią się w dużym stopniu od wzorów stosowanych kilkanaście lat temu, bowiem zmienia się je według upodobań kupujących”. Czy to ma być kryterium nowej sztuki ceramicznej? Jurek ma poważne wątpliwości. Poddaje się tym upodobaniom z wątpliwością. Ale ich zaspokajaniu nie wyżywa swoich ambicji twórczych i „oprócz tego — powiada — staramy się wymyślić nowe i piękne wzory ludowe. Tylko, że dotychczas nikt nam nie podsuwał żadnych wzorów, które by można by zastosować w nowym garncarstwie”.

Tu już formułuje się i oskarżenie i wezwanie o pomoc na drodze do nowej sztuki garncarskiej.

Z tego samego powiatu łańcuckiego (z Medyny Głogowskiej) podobnie pisze Andrzej Ruta.

„W naszej okolicy jest stały motyw dekoracyjny, ale my się staramy go zmienić. Bo mamy w sobie to dążenie, aby lepiej i przedziej coś nowego zrobić, nie tak jak to nasi przodkowie robili. Ale dlaczego nie podsuwają nam projektów do kształtów i wzorów do malowania,

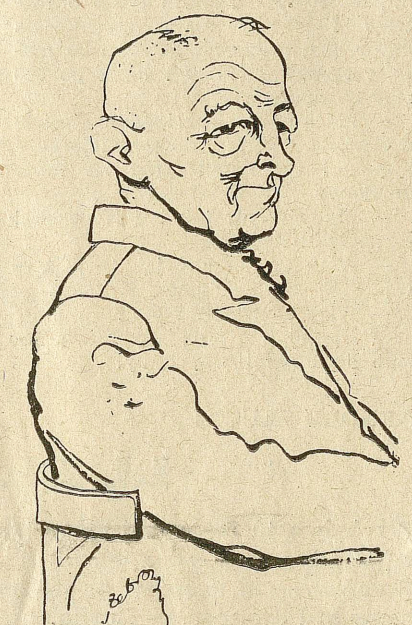
a wciąż nas zostawiają naszej własnej tylko pomysłowości?”

Pod czym to adre-em? Najpierw Ministerstwa Kultury i Sztuki, w konsekwencji pod adresem paru galei nauk, jak etnografia i historia sztuki, wreszcie, i tu byłoby najbliżej — pod adresem nie istniejącej krytyki artystycznej folkloru i sztuki ludowej. Tak, tak, cała nasza krytyka zaczyna i kończy swoje powołanie w związku z „malarstwem”. A sztuka ludowa ma iść na żywioł? Na niekontrolowaną, niekierowaną, nieuczoną i niewspomagana „ludowa pomysłowość”?

Czy w niej przestaje działać prawo dwu nurtów? Rewolucyjnego i reakcyjnego? My, odbiorcy mamy wszystko brać za cacy i twórcy ludowi też mają wszystko, co stworzą, uważać za cacy?

Ten konflikt, tę trudność, to zagrożenie pierwszy dostrzegają sami twórcy ludowi. Niechże będzie wstyd młodym adeptom historii sztuki i instytutów sztuki.

Całe to opisane ożywienie, nabierające dramatycznego napięcia u twórców ludowych, w tym właśnie znajduje wyjaśnienie. Chcą tworzyć nową sztukę socjalistyczną! Ale każdej próbie nowego wzoru, nowego kształtu grozi napór, mówiący skrótem i krótko, reakcyjny wpływ. I dlatego wzywają pomocy. Stare i wsteczne walczą, tzn. wytwarzają jeszcze bardziej wsteczne formy.



Hipolit Plichtiewicz — Kowol, pow. Włodawek

I tego się boją twórcy ludowi, aby w niej nie — formacie — „nowej” formie nie zagnieździło się stu starych diabłów.

Trzeci kierunek ożywienia — prowadzi, że tak powiem, do wojny z

radami terenowymi. Czy jest po temu powód? Jest. Nie wiadomo kiedy wreszcie zaczną rady narodowe nazywać garncarzy — ceramików, tak jak nazywa ich minister Kultury i Sztuki — „twórcami ludowymi”. Ale to wiadomo, że rady są gospodarzami terenu i drobny przemysł musi ich obchodzić. Ich to zadaniem jest wydobywać i uruchamiać utajone rezerwy produkcyjne w postaci drobnej wytwórczości. A nie ma listu bez skargi i zażalenia na rady gminne i powiatowe. O coż idzie?

Pieczę nasza są w bardzo złym stanie i potrzebują remontu a nie przeprowadza się ich z powodu braku funduszu (Jurek Fr.).

„Posiadam stary, walący się dom z jedną izbą, tu i mój warsztat. Gdybym dostał desek na skromną szafkę i na skład tych wyrobów, mógłbym wtedy pracować lepiej i wydajniej. O pomoc zwracałem się do władz terenowych, ale tu bardzo ciężko” (Ruta A.).

„Pracuję w ciężkich warunkach, bez odpowiedniego budynku i odpowiedniego pieca” (Konopczyński). „Nasz zakład (spółdzielczy) prymitywnie zbudowany zaczyna się rujnować a najbardziej piec, przez co dużo naszych wyrobów przydymia i niszczy” (Muszyński H.).

Przerwijmy tę listę skarg. Sens ich jasny. Oskarżają o hamowanie produkcji garncarsko-ceramicznej. A to nie parę drobiazgów na rok. To codzienny potok garnków, „siwaków”, misek, dzbanków, talerzy, doniczek, wazonów, baniek, kafli, flakonów itp.

Trzeba amortyzować warsztaty produkcyjne. Trzeba je naprawiać, rozszerzać i ulepszać. Rady narodowe nie mogą uprawiać strusiej polityki. Mają u siebie drobną wytwórczość? Niech się cieszą i niech walczą o przydział potrzebnych materiałów, niech je wygospodarują we własnym zakresie, aby zmóc produkcję, zapalić i osiągnięcia ceramików „twórców ludowych”.

W tym wirze napraw i remontów kłuje się nowa wielka perspektywa. Dał jej wyraz Konopczyński.

„Zwiedziłem w roku ubiegłym nową fabrykę ceramiczną i szkołę przy niej w Łysej Górze (pow. Tarnów). W takich fabrykach, które są spółdzielcze, oto nasza przyszłość! Bo nasi garncarze pracują jeszcze przy starych, pojedynczych, prymitywnych piecach i starymi metodami jak struganie gliny strugiem, zamiast walcowania. Suszą wyroby w izbach mieszkalnych, co zagraża zdrowiu, nie mają elektryki ani suszarki”.

Nie pracują wspólnie w wielkich zakładach, gdzie mogą być działy, specjalizacja i rozwijać się dopiero sztuka”.

Wacław Palik

JANINA KRAUSOWA

CZTERY KASZUBSKIE POKOLENIA

NAD pięknym jeziorem Wdzydzkim, w sercu zielonej od lasów i błękitnej od wód Kaszubszczyzny, leży stara wieś — Wiele. Pięknie tu, ale i ułogo zawsze bywało — jak to na Kaszubach, gdzie anegdota ludowa opowiada, że gospodarz wkładał krowie przed wypędzeniem na ugor zielone okulary. Niech bydlętko patrzy na piaszek myśli, że to trawa, bo inaczej się nie przeżywi.

„IGORZ KASZEBSKI” RODEM Z WIELA

W roku 1952 minęło stulecie urodzin i zarazem pięćdziesięciolecie śmierci najwybitniejszego ludowego poety kaszubskiego, Hieronima czyli Jarosza Derdowskiego. Z zachowania paru podobizn kaszubskiego „Igorza” (bo tak lud tutejszy nazywa poe) spogląda piękna, młodzieńcza twarz, pełna życia i uśmiechu. Jarosz Derdowski urodził się właśnie w Wielu w chłopskiej rodzinie, która do dziś gnieździ się nad Wdzydzami. Z Wiele wyszedł Derdowski jako pierwszy kaszubski dziennikarz i poeta, z zawodu nauczyciel ludowy, walec Paryża i Petersburga, wielokrotnie więziony za swoją pracę publicystyczną (w toruńskim „Przyjacielu Ludu”), wreszcie emigrant do Ameryki, jeden z „panów Balcerów w Brazylii”, zmarły za oceanem osadnik i redaktor polskiego „Wiarusa”. Spod pióra Derdowskiego wyszły utwory, pisane w gwarze ludowej, stanowiące zwierciadło życia ludu: dwie powieści: „Walek na jarmarku” i „Jasiek z kniei” oraz dwa poematy: „O panu Czorlińskim, co do Pucka po sece jechol” i „Kaszuba pod Widnem”. Poemat o „Panu Czorlińskim” jest spośród dzieł Derdowskiego najbardziej znany i popularny na Kaszubach. Krytyka literacka nazwała go „pomorskim Panem Tadeuszem”. Istotnie — ta pogodna, pełna humoru rymowana opowieść o przygodach wesołego pana Czorlińskiego, którego żona wysłała po sieci do Pucka, stanowi dokument obyczajów życia kaszubskiego. Derdowski, dedykując swój poemat Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu



Chata Kaszubska

napisal, że „zełgał swą gadkę ku pokrzepieniu serc”. Potrzebowały kaszubskie serca pokrzepienia, toteż Derdowskiego „Marsz kaszubski” stał się odtąd hymnem pokoleń.

„Tam, gdzie Wisła od Krakowa
W polskie morze płynie,
Polsko wiara, polsko mowa
Nigdy nie zaginie.
Nigdy do zguby
Nie przyniósł Kaszuba”.

W wydanej niedawno drukiem korespondencji wielkiego historyka i wielkiego bojownika o polskość Mazur i Śląska, Wojciecha Kętrzyńskiego, odnajdujemy list Jarosza Derdowskiego, który pisze:

„Prośba, którą odważam się na przykazać Panu, odnosi się do piśmiennictwa kaszubskiego. Może Panu wiadomo, że w r. 1880 zebrałem poemat, czyli raczej ramotę o panu Czorlińskim, co do Pucka po sece jechol. Nie mając żadnych źródeł pod ręką, musiałem się ograniczyć na odrywaniu spostrzeżeń, nagromadzonych podczas mych wędrówek po Kaszubach. Może Pan będzie łaskaw poradzić mi, w jaki sposób można by zebrać nieco materiałów do poematu kaszubskiego mniej więcej na temat „Będzie jezdział, będzie hukol, będzie żonkę szukał”. Mój bohater musiałby so-

bie szukać żony po różnych okolicach Kaszub, więc byłaby sposobność do odrywania miejscowych cech charakterystycznych i potrącenia o wydarzenia historyczne w różnych zakątkach polskiej ziemi nadbałtyckiej”.

Niestety, „Igorz” kaszubski nie napisał ludowego poematu na temat „Będzie jezdział, będzie hukol, będzie żonkę szukał”. Jarosz Derdowski, borykając się z dojmującą biedą, kilkakrotnie za swą pracę dziennikarską i społeczną więziony przez Prusaków, po pobycie w Petersburgu, który wyrwał na niego wielki wpływ i uczynił z Derdowskiego na zawsze przyjaciela rosyjskiego ludu, emigruje do Ameryki. Urodzony w Wielu nad Wdzydzami, zmarł w Vinonie (Minnesota) kaszubski ludowy „Igorz”.

MUZEUM „SZKÓLNEGO”

W czasie, gdy Jarosz Derdowski rymował swoje pogodne opowieści, gdy zapalał artykułami szpalty „Przyjaciela ludu” i zamyslał o bliższej, nieuniknionej podróży do Ameryki za chlebem, nad rodzinny mi Wdzydzami „Igorza” pojawił się nowy nauczyciel — Izydor Gulgowski. Młody „szkolny” miał podobnie jak autor „Pana Czorlińskiego” zamiłowanie literackie, ale coż, nie każdemu dano talent, Wiersze Izydora Gulgowskiego, chętnie po szkolnych zajęciach pisane w krótkim, zwięzłym, byty siabe, mmo że zawierały wiele najszerszych uczuć.

Izydora Gulgowskiego nie dzięki poezji o kaszubskiej ziemi przetrwał w pamięci następców. Dziełem życia Gulgowskiego stało się stworzenie przez niego Muzeum Kaszubskie.

Był to koniec ubiegłego stulecia, okres sławy i powodzenia słynnego muzeum w Skansen. Kaszub, wykształcony w Berlinie, postanowił nad Wdzydzkim jeziorem stworzyć małe Skansen. Nabył w tym celu „checze z wystowiem”, piękną i samą w sobie już muzealną i napenił ją w ciągu kilkunastu lat wszystkim, co w okolicy znalazł cennego. W „wielkiej izbie” stanął piec z kachli garncowych, łóżka, szelbiaki, kufer i skrzynka ze zbiorami starych czepek, sztychów, złotych, obok kredens z naczyńkami roboty kaszubskich garncarzy, a dalej kolorowatek, warsztat tkacki, przyrządy rybackie, sieć, zbiór tabakerek, obrazy, rzeźby z drzewa, tysiąc cennych przedmiotów, okazów ludowego rzemiosła. Całość zbiorów Izydora Gulgowskiego dawała zwiędzającemu muzeum wierny i pełny obraz kaszubskiej kultury materialnej. Prywatny zbiór „szkolnego” z nad Wdzydzkiego jeziora był jedynym w okresie szalejącej „Hakaty” muzeum kaszubskim, poświęconym chłopskiej kulturze Pomorza. Zbiory Izydora Gulgowskiego w czasie wojennej zawieruchy spłonęły razem z zabytkową chatą. Pozostała po Gulgowskim wdowa stworzyła muzeum na nowo i ostatnie lata jej życia (umarła jako przeszło dziewięćdziesięcioletnia staruszka) otoczyła moralną i materialną opieką ludowa władza.

Fakt stworzenia muzeum w kaszubskiej wsi i połączenie z nim fakt wydobywania z zapomnienia ludowej sztuki miały wielkie znaczenie w okresie wynarodowienia i ucieku Pomorza. Działalność Gulgowskiego stała się podwaliną dzisiejszych muzeów ludowych na Wybrzeżu, w Kartuzach i w Łęborku i przez swe pionierstwo zasługuje na uwagę.

PIOSENKA DLA PROFESORA

Minęło sporo lat, pierwsza wojna światowa przyniosła części Pomorza wolność, ale nie poprawiło to bynajmniej doli kaszubskiego chłopca. I oto w 1930 roku przyjechał nad Wdzydzę profesor z Poznania, Lucjan Kamiński. Intencją jego było wypełnić lukę w wiekopomnym dziele Kolberga i zebrać pieśni ludowe Kaszub. Owocem pracy stało się duże dzieło, wydrukowane w r. 1932. Posłuchajmy, jak to śpiewnik odnalazł i zapisał poznański profesor nad Wdzydzami. 69-letni Kaszub Paweł Lorek poddyktował mu taką piosenkę:

„Na rogu pola
Stoi niedola.
Będziemy się dorabiali
Kawałka chleba”.

A 65-letni robotnik folwarczny Józef Pokrzywiński, jeden z licznych służących pańskiego dworu w majetności Coldanki, śpiewał przed profesorem Kamińskim tak:

„Już ja tu nie będę
w tych Caldońskich bujać,
choćaj z mną będą
talarami kulać;

Powiadają ludzie,
że w Caldońskich dobrze,
a tam robić musi,
aż się skóra podrze.

Głodu się namorzy,
czarno się nachodzi,
choć najlepiej robię,
nigdy nie wygodzi.

O Boże, o Boże,
stań że mi na pomoc,
wyprowadź, wyprowadź
od panów do domu.

Wyprowadź, wyprowadź
na kaszubskie pole,
tam się rozweseli
smutne serce moje”.

ARTYSTA Z WIELA

W tej samej wsi Wiele w 1921 roku przyszedł na świat Alfons Nowaczyk. Ojciec jego, pa-



Legutowska i Sterczakowa z Rzeczycy

IRENA MADEJSKA

OTO PRZYKŁAD!

NA łamach „Wsi” wiele już raz oprowadziłyśmy za twórcami ludowymi, ukazując jak w trudnych warunkach jeszcze warunkach wypadła im praca i tworzyć, kiedy brak odpowiednich narzędzi, warsztatów, materiałów i zamówień.

Z braku opieki właściwych czynników („Cepeli” i rad powiatowych) talent lubelskiego rzeźbiarza Szkodzińskiego rozwija się „dzioko”. Artysta tylko „słyszał, że są poza nożem i dółtem inne narzędzia rzeźbiarskie, ale nigdy ich nie widział”. Rzeźbiarz Dudek z braku zamówień uczył się pracy drogomicz strza i rzeźbił coraz rzadziej, coraz częściej powątpiewając o swoich talentach. Topnieje zespół hafciarek kaszubskich z Żukowa, bo „Cepelia” nie dostarcza płótna, nici...

Pora jednak ukazać drugą stronę zagadnienia, skoro i to, jak każde zagadnienie, powstaje w walce dwóch sprzecznych stron, dwóch przeciwstawiających się sobie sił.

Koleży, twórcy ludowi! — Czy fakt, że „Cepelia” nieraz Was zaniedbuje w dostarczaniu odpowiednich środków, narzędzi, materiałów pomocniczych, wzorów i zamówień, czy fakt, że nieraz „Cepelia” nie dostarcza płótna, nici... Pora jednak ukazać drugą stronę zagadnienia, skoro i to, jak każde zagadnienie, powstaje w walce dwóch sprzecznych stron, dwóch przeciwstawiających się sobie sił.

Waszą rzeczą jest walczyć. Do sprawy wieść drugą jej stronę. Przecież pomagać lub szkodzić można tylko temu, co się rodzi i powstaje. Co się chce utrwalić i powziąć.

To jest zatem pierwsze i podstawowe. Poczuć swą godność, pojąć głęboko swą rolę i postawnictwo i w walce dowieść wielkiej roli sztuki ludowej dla rozwoju kultury i sztuki narodowej.

Praktycznie zatem rzecz biorąc, trzeba najaciekłej przezwyciężyć w sobie lamentacyjną postawę, która sprzeczna się do tego, że jeśli nie opiekują się moją pracą, o-puszczam rękę.

Chcę tu podać przekonywujące i zastraszające Was przykłady. To, co osiągnęły artystki z Rzeczycy (pow. Mińsk Mazowiecki) jest możliwe dla każdego z Was. Ich zatem droga — Waszą drogą!

Tam również „władze okoliczne nie interesują się prawie wcale naszą pracą” (jak pisze Julia Sterczak z Rzeczycy). Tam również spotykały artystki najdotkliwsze cięsy — „jeżeli bowiem wprowadzimy coś nowego, czego dawniej się nie wycinano lub nie haftowano, „Cepelia” uważa, że to już nietypowe dla naszego okręgu i rezygnują z twórczości”.

Ale... poradziły sobie. Dotarli po wyzwoleniu do Rzeczycy, podobnie jak do Was, przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki, zachęciły do pracy, do wystaw i konkursów, ogłaszanych w skali powiatowej, wojewódzkiej i centralnej. Taki był Wasz wspólny początek, taka podstawowa więź z władzą ludową i polityką rewolucji kulturalnej, powołującej twórców ludowych na front walki o nową sztukę, przez wydobywanie jej regionalnej odrębności i specyfiki.

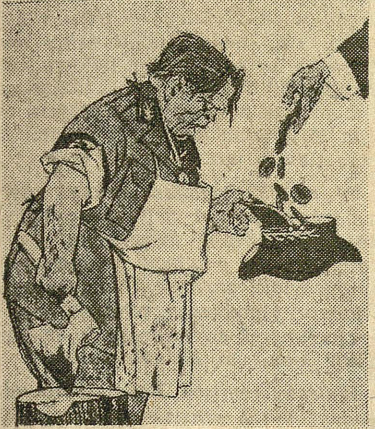
W Rzeczycy, tak jak i u Was, wyjść trzeba było z organizacyjnych tradycji chałupniczych, z pozycji twórców, niedocenianych w ołolicy, nie budzących zainteresowania, nie otaczanych opieką i należnym szacunkiem. Fakt.

Ale to pierwsza, ta główna więź, która połączyła artystki z Rzeczycy z Ministerstwem Kultury, ta więź w ich rożnieniu powinna być stać się ośrodkiem do marszu w przyszłość i stała się. Na wojewódzkim konkursie „Cepeli” w Łodzi (rok 1950) Rzeczycanki zdobywały nagrody. Umacniały w sobie wolę twórczą, entuzjazm i zachęte. Zdobyci pierwszy tytuł, pierwszą legitymację do utorowania drogi dla swej sztuki w rejonie macierzystym. „Władze okoliczne w dalszym ciągu nie int. esują się sztuką w Rzeczycy”. Toteż nie od władz zaczynała. Władze zdobyła, zainteresowała, zmusza do uznania i pomocy, kiedy swoimi tkaninami i rękami robiła ozdoby najbliższe światlice, kiedy dotarła z nimi do szkoły prawie całego powiatu. Tak gęsto rozmieszczone ekspozycje musiały się rzucić w oczy przedstawicielom organów kultury i oświaty, przedstawicielom Władzy Ludowej.

(Dokończenie na str. 7)

RADOMIR SZARANOWICZ

TITOWSKA JUGOSŁAWIA RAJ DLA KUŁAKÓW



PRZED 5 laty, dnia 29 czerwca 1948 roku, Biuro Informacyjne partii komunistycznej i robotniczych powzięło historyczną decyzję. „O sytuacji w Komunistycznej Partii Jugosławii”. Rezolucja ta wskazywała, iż nacjonalistyczna polityka rządzącej klikki titowskiej musi nieuchronnie doprowadzić do tego, że „Jugosławia wywróci się w zwykłą republikę burżuazyjną, że utraci swą niepodległość, przekształci się w kolonię państw imperialistycznych”.

Wypadki ostatnich lat potwierdziły słusność tej oceny. Dyktatura titowska za pomocą szeregu haniebnych umów podporządkowała zarówno gospodarkę kraju jak i jugosłowiańską armię całkowitej kontroli Stanów Zjednoczonych. Większość kopalń i hut Jugosławii należy dziś do koncernów anglosaskich. Reszta zaś przedsiębiorstw wskutek tzw. „decentralizacji przemysłu” wróciła w ręce ich dawnych właścicieli.

Równoległe ze wzrostem produkcji broni oraz wydobycia rud strategicznych, które wywozi się do USA, przemysł pokojowy Jugosławii przeżywa ciężki kryzys. Produkcja tkanin, skóry, nawozów sztucznych i wielu innych towarów była w 1952 r. o połowę mniejsza niż w latach przedwojennych. Ilość bezrobotnych przekracza już pół miliona. Gdy w ubiegłym roku monopolistcy amerykańscy wyścignęli z jednej tylko kopalni „Bor” ponad 14 milionów dolarów czystego zysku, to zarobki robotników jugosłowiańskich wciąż maleją wskutek zniżek płac i wzrostu podatków.

A na wsi? W rezolucji Biura Informacyjnego polityka wiejska klikki titowskiej została potępiona jako „awantura skazana z góry na niepowodzenie. Na czym polegała właściwie ta polityka?”

O óż grupa agentów imperializmu amerykańskiego, która zagarnęła władzę w Jugosławii, bardzo wesoło zaczęła demagogicznie szermować obłudnymi hasłami szybkiej „budowy socjalizmu” na wsi. Droga administracyjna, zarządzeniami z za biurka titowcy utworzyli w pierwszym okresie tysiące tak zwanych „spółdzielni pracy”, obejmujących wszystkich chłopów, to znaczy również i kułaków. Titowcy nie prowadzili polityki sojuszu robotniczo-chłopskiego pod kierownictwem klasy robotniczej; nie usiłowali też ograniczać i wypierać żywiołów kapitalistycznych na wsi. Wręcz odwrotnie. Na czele spółdzielni postawili kułaków, którym powierzyli również kierownictwo stanowiska w miejscowych organach administracji państwowej.

Pod zarządem kułaków spółdzielnie tytowskie stały się narzędziem wyzysku i ucisku biedoty wiejskiej oraz systematycznego ogryzania średniaków. Zniesiono wszędzie dniówki obrachunkowe w naturze, rozwieszano ośrodki maszynowe. Szeregowi członkowie spółdzielni dostawali za swą pracę znikomą zapłatę, która starczyła mu zaledwie na kupno części niezbędnych artykułów żywnościowych po wysokich cenach wolnorynkowych. W tych warunkach podstawowa masa chłopska cierpiała nędzę i niedostatek. Jednocześnie zaś kułacy, członkowie zarządów spółdzielni, pod opiekunictwem okiem władz belgradzkich tuczyli się na wyzysku chłopów pracujących. Stowem, spółdzielnie przekształciły się w wielkie kułacko — kapitalistyczne gospodarstwa rolne.

Nieludzki wyzysk doprowadził do częstych i poważnych strąk w spółdzielniach. Walka klasowa zaostbrała się tam coraz bardziej, powodując szybki upadek produkcji rolnej.

CZTERY KASZUBSKIE POKOLENIA

(Dokończenie ze str. 6)

Iaczej w miejscowej cegielni, był bezrolnym chałupnikiem i nędzarzem, bo cegielnia pracowała tylko od czasu do czasu, a rządziej jeszcze płaćla robotnikom za pracę. Alfons Nowaczyk od najmłodszych lat malował; malował najczęściej patykami na płasku albo węglem na desce czy ścianie, póki matka nie przeganiała do roboty. O szkole chłopiec nawet nie marzył, bo skąd wziąć na buty, na książki i zeszyty? Po kilku latach pasionki Alfonsa Nowaczyka zaczął praktykę u domorosłego majstra — malarza pokojowego. Choć w ten sposób chciał mieć do czynienia z farbami, z pedzelami... O pracy artystycznej, o kształceniu się, nadal nie było co myśleć. Prawdziwe przybory malarzskie Alfons Nowaczyk kupił sobie

Spółdzielnie stały się „nieproduktowne”. Nie wytwarzały one dostatecznej ilości żywności dla zaspokojenia potrzeb wojska oraz dla masowego eksportu celem pokrycia kosztów importowanej z Ameryki broni. Upadek produkcji ograniczał też zyski kułaków.

Widząc, że spółdzielnie stają się teraz hamulcem dalszego rozwoju stosunków kapitalistycznych na wsi, titowcy uchwalili niedawno nową ustawę „O stosunkach majątkowych i reorganizacji chłopskich spółdzielni pracy”. W istocie ustawa ta likwiduje spółdzielnie. Przy tym biedota wiejska, która wstępując swego czasu do spółdzielni nie wniosła ziemi, bo jej nie miała, obecnie zostaje wyrzucona na bruk. Średniorolni zaś chłopci muszą, w myśl ustawy, odstąpić znaczną część swego gruntu większym posiadaczom po dyktowanych przez nich cenach.

Nowa ustawa wywołała zrozumiałą radość wśród kułaków. W raporcie o tym, jak wieś przyjęła ustawę, organ titowców „Borba” w numerze z 12 kwietnia br. stwierdził: „Podczas gdy młodość chłopów zastanawia się, co dalej robić, bogaci wnoszą toasty za zdrowie rządu”. Jak podaje prasa titowska, w powiecie Nowosady kułacy poklepują młodość chłopów po ramionach, mówiąc do nich z cynicznym uśmiechem: „Znowu do nas przyjdziecie po przysługę, znowy będziemy dawali wam kaszę kukurydzianą”.

Pismo titowskie „Zadruga” z dnia 23 kwietnia opisało przebieg zebrania w gminie Wrbsa, na którym zlikwidowano spółdzielnię. Kułacy na miejscu wybierali dla siebie parobków spośród byłych spółdzielców. Według danych opublikowanych przez titowców, liczba spółdzielców, którzy zmuszeni byli pójść na służbę do kułaków, wynosi już 187 tysięcy. Biedacy, którzy nie spodobałi się wyzyskiwaczom wiejskim, pozostali bez żadnych środków do życia. Średniacy, którym zabiera się znaczna część ich dawnej ziemi, skazani są na szybką ruinę wobec masowej rekwiizycji bydła, koni i wozów dla potrzeb rosnącej armii oraz wskutek zaciągania 700.000 chłopów do wojska.

W obliczu strasznej nędzy, w którą ich wpycha reżim titowski, chłopstwo pracujące Jugosławii wznosi walkę o ziemię i o wolność. Dyktatura titowska usiłuje terrorem zdławić opór ludu. Wśród 250.000 patriotów jugosłowiańskich, jęczących w więzieniach i obozach koncentracyjnych, poważny odsetek stanowią chłopci. Ale terror nie może już powstrzymać walki chłopów.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy chłopci pracujący samorzutnie podzieliли między siebie dawnych spółdzielni w różnych okolicach kraju. Według relacji gazety „Borba” z 24 kwietnia biedniacy i średniacy gminy Dziakowo zabrali nie tylko cały majątek spółdzielni, lecz i przyległe grunty państwowe. W powiecie darwarskim wbrew protestom kułaków chłopci 18 spółdzielni zignorowali przepisy nowej ustawy i podzieliли między siebie całą ziemię. W powiecie pocerskim podobne zajścia miały miejsce w 16 spółdzielniach, a w powiecie Wyrowityczka — w 45 spółdzielniach.

W wielu miejscowościach chłopci wysuwają teraz hasło podziału zarówno ziemi, jak bydła i inwentarza spółdzielni, które nagromadziły dzięki wspólnej pracy, oraz hasło zniesienia wysokich podatków i umorzenia długów.

Walka chłopów pracujących Jugosławii nie kończy się na tym. Wiedzą oni dobrze, że jest ich głównym wrogiem, kto niszczyli wszystkie ich zdobycze, kto zamienił reformę rolną w zwykły świstek papieru, kto przynosi im niedole i głód. Wiedzą oni, że ich śmiertelnym wrogiem jest zaprzęgnięty imperializm amerykańskim reżim titowski. Toteż wspólnie z masami pracującymi miast, pod kierownictwem klasy robotniczej, chłopci organizują się w szeregach „Sojuszu Patriotów Jugosłowiańskich” do walki o obalenie znieważonej dyktatury titowskiej.

Titowcy nie zdolali zabić nadziei ludu w lepsze jutro. Narody Jugosławii mekną walczą o poprawę bytu, o demokrację, o niezawisłość ich kraju, o pokój na świecie. Walczą one o to, by człowiek pracy miał takie życie, jakie zbudowały sobie narody Związku Radzieckiego i jakie obecnie budują sobie narody krajów demokracji ludowej.

Radomir Szaranowicz

TADEUSZ ORLEWICZ

WĘGRY W CZORAJ I DZIŚ

„**N**ARÓD węgierski w ciągu wieków żył w jarzmie: uciskali go obcy zaborcy i wyzyskiwali rodzimi obszarnicy i kapitaliści. Wielowiekowa walka narodu o wolność była krwawo tłumiona, dopóki Związek Radziecki swą walką wyzwolenczą nie rozbił kajdan, w które zakuty był węgierski lud pracujący. Po raz pierwszy w swych dziejach lud nasz może swobodnie żyć i budować lepszą przyszłość. Po raz pierwszy przekonuje się on na własnym doświadczeniu, do jakich wielkich czynów jest zdolny naród, którego swobodnego rozwoju nie hamuje już ani wyzysk kapitalistyczny ani ucisk obcych zaborców”.

Tymi słowy Matias Rakosi, wódz narodu węgierskiego, określił w swoim wystąpieniu na XIX Zjeździe KPZR, głębokie przemiany, które w ostatnich latach zaszły w jego kraju.

Z zaoconego kraju rolniczego, Węgry przekształcają się w kraj przemysłowy o wysoko rozwiniętym rolnictwie.

Tam, gdzie dawniej było siedlisko zaoconia i nędzy, wyrasta Stalinyaroz — nowoczesne miasto budowniczych socjalizmu i potężny kombinat hutniczy. W Szeged ruszył wielki kombinat tekstylny, pracujący na pierwszorzędnym maszynach radzieckich. W jednym tylko roku 1952 uruchomiono na Węgrzech 150 nowych zakładów przemysłowych. Ruszyła produkcja różnorodnych precyzyjnych maszyn dla przemysłu, produkcja traktorów i kombajnów. W roku 1952 przedwojenny poziom produkcji przemysłowej kraju został przekroczony przeszło trzykrotnie. Pod względem wydobycia węgla na głowę ludności Węgry już biją Francję. Już produkują więcej surowców i stali niż Włochy. Wczorajszy pastuch, wczorajszy formal zdobywa wiedzę na budowlach socjalizmu, uczy się budować radosne dziś i jutro. Wypierza stare kraje kapitalistyczne. Przeobraża węgierską ziemię.

Ruszyła w tym kraju wieś. W końcu 1951 roku rolnicze spółdzielnie produkcyjne i gospodarstwa państwowe obejmowały 25 proc. ziemi ornej, dziś — przeszło 40 proc. Ponad 280.000 gospodarstw chłopskich podjęło zespołowe gospodarowanie. Wczoraj traktor był nieznanym na wsi węgierskiej. Dziś

na polach pracuje już 5 tysięcy ciągników, a w roku 1955 będzie ich 20 tysięcy.

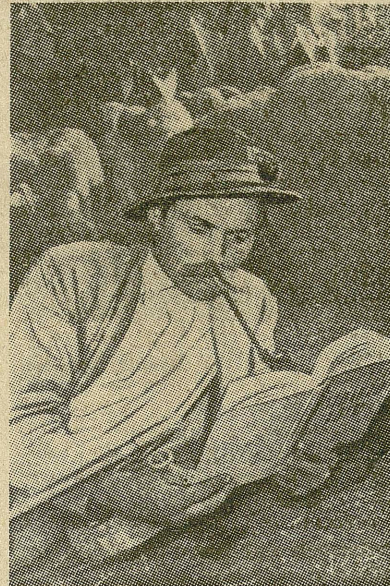
Dawniej, choć istniały odpowiednie warunki klimatyczne i glebowe, nie było w tym kraju uprawy bawełny. W 1951 r., w pierwszym roku obecnego planu pięcioletniego, bawełna rosła już na 6.000 ha. W ostatnim roku pięcioletnia 114 tysięcy ha będzie kwitło białym puchem tej cennej rośliny. W setki i tysiące hektarów rosną pola ryżowe.

Gdzie dawniej na indywidualnych poletkach jeden móg węgierski dawał najwyżej 12 kwintali pszenicy, teraz w gospodarce zespolowej daje on do 20 kwintali złotego ziarna. Gdzie do niedawna rozpościerały się odwieczne błota lub grunty spalone słońcem, czy nekane suchym wiatrem pustynnym — tam dziś toczy się wielki bój o ujarznienie żywiołów przyrody, o wprężenie jej sił w służbę człowieka.

Oto dzika węgierska puszcza, Hortobágy. Tu, jak opowiadał pisarz węgierski, Endre Ady — nawet sztudnia wyschła, został tylko żółw. A teraz wolny człowiek, wyposażony w radzieckie doświadczenia, zbiera na tysiącach hektarów ryż, zakłada plantacje bawełny.

W Tisálók, nad rzeką Cisą, powstaje hydroelektrownia. Spiętrzone wody, przeprowadzone przez potężne turbiny, dadzą 55 milionów kilowatogodzin energii elektrycznej rocznie. Ponad 120 tysięcy hektarów zostanie nawodnionych. Tu, gdzie dawni czasikarze, pozbawieni ogniska domowego „cowboje węgierscy” pedzili koczowniczy żywot, zakwitają sady i ogrody, wyrastają wioski wygodnych i przytulnych domków.

Takich jak w Tisálók elektrowni budują obecnie. Węgry cztery. A to oznacza, że w ciągu pięcioletnia produkcja energii elektrycznej w kraju wzrośnie trzykrotnie. Każda bez wyjątku wieś węgierska otrzyma światło i tanie siłę napędową do ciężkich i pracochłonnych robót. Do przemysłu wkroczy szeroki front mechanizacji procesów produkcyjnych. Człowiekowi w mieście i na wsi łatwiej będzie pracować i weselej żyć. Dawniej „jeżeli ziemia mało rodziła — przypomniał talentowany pisarz węgierski, Sándor Nagy — była wielka bieda: nie było chleba. Jeżeli rodziła dużo,



znowu bieda: kupcy obniżali cenę zboża. Obok wschodzących dworów obszarniczych przyniwały głodem try miliony bezrolnych chłopów”. Dziś czasy te należą do bezpamiętnej przeszłości.

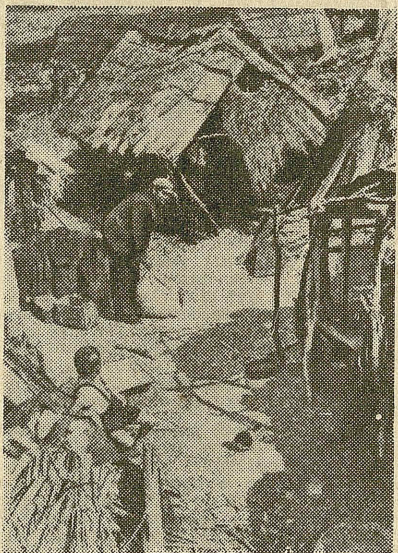
Za dawnych czasów „klasy rządzące, pasożytnicze, do szpiku kości — pisał Endre Ady — dawały wszelką inicjatywę twórczą utalentowanego narodu węgierskiego. Pan hulał, a chłop przeklinał życie, beznadziejny, zapędzony w samo dno ciemnoty”. A dziś w kraju tym odbywa się wielka rewolucja kulturalna. Dziś tysiące jasnych szkół i dziesiątki wyższych uczelni kształtują nową ludową inteligencję. Na każdy tysiąc mieszkańców Węgry mają teraz więcej studentów niż Anglia, Francja lub Szwajcaria.

Oto już zwycięstwo dziś narodu węgierskiego. Budowa socjalizmu otwiera wspaniałe perspektywy dalszego rozwoju kraju, dalszego wzrostu dobrobytu mas ludowych. W następnej, drugiej z kolei, pięcioletce Ludowych Węgier, wydobycie węgla będzie 5 razy większe niż przed wojną, a produkcja stali sześć razy większa. Nowe elektrownie dadzą 12 miliardów kilowatogodzin energii. Pola węgierskie, z których 700 tysięcy mórg zostanie nawodnionych, dadzą około 40 milionów kwintali zboża — urodzaj, przewyższający najmielsze poprzednie obliczenia.

Tadeusz Orlewicz

EDWARD MARTUSZEWSKI

GOSPODARCZE ZAPLECZE WATYKANU



WATYKAN rozporządza we Włoszech olbrzymimi bogactwami. W dziedzinie przemysłu jest on posiadaczem i mnóstwa akcji wielu przedsiębiorstw przemysłowych. W dziedzinie rolnictwa ma miejsce akcji i papierów wartościowych zajmują folwarki i latyfundia. A ogólna wartość ziemi należącej we Włoszech do kościoła przekracza 350 miliardów lirów.

Nieco danych cyfrowych na temat własności ziemskich kościoła we Włoszech dostarcza nam oficjalna statystyka, opublikowana przez INEA (Instytut Narodowy Dla Spraw Gospodarki Rolnej) w książce „Rozdział własności ziemskiej we Włoszech”. Dowiadujemy się tam, że majątki kościelne znajdują się w 6822 gminach — to znaczy, że nie ma ich jedynie w 444 gminach.

Może ktoś zauważyć, że skoro majątki kościelne znajdują się aż w tylu gminach, a stanowią aż 66.489 jednostek gospodarczych, to muszą to być majątki małe, nie odgrywające większej roli w życiu gospodarczym danej gminy. Sprawa ta naturalnie przedstawia się różnie w różnych częściach Włoch. Mimo to jednak jednostki gospodarcze posiadające ponad 100 ha powierzchni stanowią 68 proc. wszystkich posiadłości kościelnych we Włoszech. Majątki te znajdują się w 1.052 gminach! Nie można więc mówić, jakoby Watykan dysponował we Włoszech majątkami nierentownymi, nie można też twierdzić, aby posiadłości jego ograniczały się do małej ilości gmin. Najwięcej ich jest na terenie dawnego państwa kościelnego, ale i w innych częściach Włoch można zauważyć

silną komasację ziemi w rękach kościelnych.

Oto kilka przykładów: w gminie Gioiosa Jonica w prowincji Reggio Calabria dobra kościelne wynoszą 1.919 ha (40,6 proc. całej powierzchni gminy), w Urbino (prow. Pesaro) — 2.233 ha, w gminie Orune 5.492 ha, w gminie Monte Romano (prow. Viterbo) — 5.507 ha (czyli 65,5 proc. powierzchni tej gminy).

W całych Włoszech kościół posiada 464.800 ha. Książka wydana przez INEA podaje również ilość ziemi w posiadaniu największych prywatnych obszarników. Otóż 105 największych właścicieli ziemskich Włoch posiada w sumie mniej ziemi niż Watykan, a mianowicie 460.200 ha.

Włochy jednak mają pod panowaniem chadejki nie tylko wielkich obszarników, mają również wiele tysięcy gospodarstw karłowatych i miliony bezrolnych chłopów. Ci ostatni muszą pracować na cudzym — między innymi również w majątkach kościelnych, których — jak widzieliśmy — jest sporo i które są zbyt wielkie, aby mogli je uprawiać sami zakonnicy i proboszczowie (nie mówiąc już o pralatach i biskupach).

Podczas kampanii wyborczej w 1948 roku De Gasperi obiecywał, że partia jego przeprowadzi reformę rolną. Obietnicy nie dotrzymał. Do następnych wyborów, które odbyły się przed kilkoma tygodniami, mógł pójść jedynie z oszukańską ordynacją wyborczą. Ale i ona nie dała mu premii w postaci bezwzględnej większości w parlamencie. Na chadeję większość chłopów włoskich nie głosowała. Partii obszarników chłopci oddali swe głosy jedynie w tych okolicach, gdzie kościołowi — wbrew obowiązującym ustawom — udaje się jeszcze ścigać dziesięcinę.

Sprostowanie

W poprzednim numerze zamieściłmy wypowiedź Marii Kamilej, sekretarza Zarządu Głównego ZSCh, pt. „Bój o nowego człowieka”, ale korektory nie dostrzegli i nie podali załączonego objaśnienia, że były to obszernie fragmenty z wypowiedzi podsumowującej Naradę Produkcji i Cyfelników na Krajowym Zjeździe Czelników III etapu Konkursu ZSCh. Fragmenty drukowane były wg nie przejrzanego przez autora stenogramu.

Wjaśnienie

W n-rze 25 (411) „Wsi” zostało opuszczone nazwisko tłumacza opowiadania Angeli Karalijewy, „Złatusza”. Jest nim BRONISŁAW CIRLIK. Tłumacza niniejszym przepraszamy za niedopatrzenie.

REDAKCJA

Kronika radziecka

ROZKWIAT LITERATUR

NARODOWOŚCIOWYCH W ZSRR

CARSKA Rosja stanowiła więzienie narodów. Rewolucja Październikowa, obalając drapieżne orły carskie na rozbrojonych granicach Polski, przyniosła wolność nie tylko polskiemu narodowi, lecz także narodom wchodzącym w skład dawnego imperium rosyjskiego, odzyskały w chmurny ranek Października własne życie i możliwość budowania własnej narodowej kultury. Języki dotąd przesładowane, literatura dotąd topiona ożyły i rozkwitły bujnie. Zwycięstwo rewolucji, zwycięstwo stalinowskiej polityki narodowościowej przyniosły upodlegzonym dotychczas narodom niebawmy rozkwit.

Szczególnie narody azjatyckie, czarno, utrzymywane w zaoconiu i niewiedzy, uzyskały w Związku Radzieckim pełną szansę rozwoju. 18 maja 1925 r. Stalin wystąpił na zgrupowaniu słuchaczy komunistycznego Uniwersytetu Pracujących Wschodu z przemówieniem pt. „O politycznych zadaniach Uniwersytetu Narodów Wschodu”. Powiedział wtedy m. in. „Proletariacka w swej treści, narodowa w formie — taka jest owa ogólnoludzka kultura, do której zmierzają socjalizm, kultura proletariacka nie przekreśla kultury narodowej, lecz nadaje jej treść, i na odwrót, kultura narodowa nie przekreśla kultury proletariackiej, lecz nadaje jej formę”. (J. Stalin, Dzieła, t. VII, str. 142. „Książka i Wiedza”, 1950 r.).

Ta genialna definicja stalinowska pozwała na rozwój literatury liczących narodów, zamieszkujących terytorium ZSRR. W szczególności stała się bodźcem do czerpania z narodowej tradycji, ze skarbnicy ludowej twórczości. Literatury kaukaskie, szczególnie gruzińskiej, tradycje 2000 lat, literatury azjatyckie pełną garścią czerpać mogły z przeszłości narodowej łącząc nową, socjalistyczną treść z własną, wypracowaną od wieków formą.

W dziedzinie literatury Październikowej odbywał się pierwszy wielki sukces. Zjazd pisarzy radzieckich (r. 1934). Na ogólną liczbę 600 delegatów połowa reprezentowała bratnie literatury narodowościowe. Przedstawiciele różnych narodów ZSRR, pisarze i krytycy, razem z pisarzami rosyjskimi realizowali puszkinski ideał czasów, „kiedy narody zapomniały wasni, i w jedną rodzinę połączyła się”. Stało się to za sprawą socjalizmu, dzięki zwycięstwu Października.

Rewolucja Październikowa wysunęła na arenę historii szereg narodów dawnie zapomnianych, celowo odsuwanych od kultury, wręcz przesładowanych. Do Października nie miały one prawa do swej literatury, nie posiadały nawet własnego pisma, istniała jedynie bogata ustna tradycja, przechowywana skarbami folklornu. Były to takie narody jak: Montwinowie, Komburici, Lezginiowie, Ewenkowie i inni.

Dziś narody te osiągnęły wysoki stopień kultury. I tak np. w Kazachstanie, leżącym za carskimi czasami zaledwie 16 procent ludu, dziś rokwita bujnie literatura. Głośny pisarz Dżambul Dżabajew został przetłumaczony na 22 języki, doczekał się 67 wydań własnych dzieł o ogólnym nakładzie 1.141.000 egzemplarzy. Dżabajew, autor tłumaczonej również na język polski powieści „Abaj”, ma 34 wydania, 785.000 egz. nakładu i tłumaczonej jest na 7 obcych języków.

Już z końcem pierwszego pięcioletnia literatura piękna w ZSRR wydana była w 110 językach. Ze szczególną pieczołowitością przystąpiono do wydobywania z zapomnienia literackich pomników narodów ZSRR. Ukazały się i święciły swój jubileusz eposy ormiański, klasyczna osetyjska literatura Kościa Khatagurowa i innych.

Literacka mapa ZSRR jest nadzwyczaj barwna i bogata. Produkuje miejsce zamieszkania literatury rosyjskiej, obok ukraińskiej i białoruskiej. Literatury narodów środkowej Azji (uzbecka, kazachska, tadżycka, turkmeńska, kirgiska itd.) posiadają bogate tradycje narodowe. Zyskały one dziś duży rozkwit i rozgłos. Powstanie znani są dziś tacy pisarze, jak Ajn, Auezow, Kerabajew i inni.

Kaukaz może poszczycić się literaturą o wiekowych tradycjach. Tutaj wymienienie trzeba literatury Gruzji, Armenii i Azerbejdżanu.

Buie rozwijają się literatury republik nadbałtyckich. O wspaniałym rozkwicie literatury narodowościowych w ZSRR świadczą nakłady i sława poszczególnych pisarzy. Poeta Dagestanu Sulejman Salski zwany Homerem XX wieku cieszy się powszechną popularnością. Komunist (Ukraina) na 126 wydań i tłumaczonej jest na 19 języków. Kolas (Białoruś) uzyskał nakład 1.357.000 egzemplarzy swoich poezji. Samed Wurgun (Azerbejdżan) opublikował wiersze o nakładzie 395.000 egz., Łacis (Łotwa) wydany jest w 2.389.000 egzemplarzy, Gulia (Abchazja) wydany został 39 razy i przetłumaczony na 19 języków.

Nie mniejsze sukcesy mają pisarze gruziński, uzbecki, kazachski, ormiański, kirgiski, osetyjski, estonski, awarski, tatarski i inni. Swoją rolę zawdzięczają zwycięstwu socjalizmu w ZSRR.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

OTO PRZYKŁAD

(Dokończenie ze str. 6)

Toteż kiedy w Rawie Mazowieckiej buduje się Powiatowy Dom Partii przy projektowaniu wnętrza przed kilkoma tygodniami, mógł pójść jedynie z oszukańską ordynacją wyborczą. Ale i ona nie dała mu premii w postaci bezwzględnej większości w parlamencie. Na chadeję większość chłopów włoskich nie głosowała. Partii obszarników chłopci oddali swe głosy jedynie w tych okolicach, gdzie kościołowi — wbrew obowiązującym ustawom — udaje się jeszcze ścigać dziesięcinę.

Rzeczywistość w Rawie Mazowieckiej buduje się Powiatowy Dom Partii przy projektowaniu wnętrza przed kilkoma tygodniami, mógł pójść jedynie z oszukańską ordynacją wyborczą. Ale i ona nie dała mu premii w postaci bezwzględnej większości w parlamencie. Na chadeję większość chłopów włoskich nie głosowała. Partii obszarników chłopci oddali swe głosy jedynie w tych okolicach, gdzie kościołowi — wbrew obowiązującym ustawom — udaje się jeszcze ścigać dziesięcinę.

Rzeczywistość w Rawie Mazowieckiej buduje się Powiatowy Dom Partii przy projektowaniu wnętrza przed kilkoma tygodniami, mógł pójść jedynie z oszukańską ordynacją wyborczą. Ale i ona nie dała mu premii w postaci bezwzględnej większości w parlamencie. Na chadeję większość chłopów włoskich nie głosowała. Partii obszarników chłopci oddali swe głosy jedynie w tych okolicach, gdzie kościołowi — wbrew obowiązującym ustawom — udaje się jeszcze ścigać dziesięcinę.

Rzeczywistość w Rawie Mazowieckiej buduje się Powiatowy Dom Partii przy projektowaniu wnętrza przed kilkoma tygodniami, mógł pójść jedynie z oszukańską ordynacją wyborczą. Ale i ona nie dała mu premii w postaci bezwzględnej większości w parlamencie. Na chadeję większość chłopów włoskich nie głosowała. Partii obszarników chłopci oddali swe głosy jedynie w tych okolicach, gdzie kościołowi — wbrew obowiązującym ustawom — udaje się jeszcze ścigać dziesięcinę.

Rzeczywistość w Rawie Mazowieckiej buduje się Powiatowy Dom Partii przy projektowaniu wnętrza przed kilkoma tygodniami, mógł pójść jedynie z oszukańską ordynacją wyborczą. Ale i ona nie dała mu premii w postaci bezwzględnej większości w parlamencie. Na chadeję większość chłopów włoskich nie głosowała. Partii obszarników chłopci oddali swe głosy jedynie w tych okolicach, gdzie kościołowi — wbrew obowiązującym ustawom — udaje się jeszcze ścigać dziesięcinę.

Oto wzór i przykład dla innych twórców ludowych!

Irena Madejska



Rys. B. Butenko

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

Gordyjski węzeł

JAK poucza historia starożytna, król frygijski Gordiusz ustawił się tym, że zasłupiał węzeł, którego rozwiązać nie było sposobu. Dopiero zdobywca Malej Azji, Aleksander Wielki, śmiały machnięciem miecza rozciął ten niezwiązany węzeł gordyjski.

Podobnie jak ów węzeł nierozwiązalny, powstał problem w spółdzielni produkcyjnej „Wolność” w gromadzie Koźminko, w związku z przyjęciem na członka ob. Franciszka Radomskiego. Nad sprawą tą głowią się od kilku miesięcy co teżże umysłowi powiatu.

Punktem, od którego należy zacząć treść relacji o tym wydarzeniu, będzie dramat, jaki rozegrał się w rodzinie naszej bohaterki.

Stato się to w jeden z tych burzliwych dni styczniowych, gdy na dworze zawierucha zatęka usta śniegiem, a półmrok izb rozjaśnia tak miłe człowiekowi ognisko podbłazna. Radomska, pogrążona w zamyśleniu, obkłada pachowe poduszki w czyste powłoki, gdy drzwi do izby zaskrzypiały nagle jakby odgłosem poirytowanego psa i na progu stanął nachmurzony Adam.

— Dowiaduję się matko ładnych rzeczy. To, coście mówili o spółdzielni, to nie ino tak sobie, a dokumentnie na prawdę.

— A cóż myślał, że ja żartuję? Na moje lato chyba można wierzyć w to co mówię. — Radomska spojrzała na zięcia, uważona jego beczerejonalnym wystąpieniem. Ten zaś nie panując już nad sobą, wypowiedział następne zdanie.

— No tak, wierzę ci, wierzę. Po was się można wzięć, spójrzcie. Chcecie nas zagnać na diadłowski chleb!

— Cio wy, dziadłowski, a bez co?

— A bez to, że go się tyle będzie oglądać, co spółdzielni z nosa skapnie.

— Widzę, że ci po staremu ktoś w głowie psuje.

Wam zepsuli już na dobre. Ładny przykład d. jesteście i tym uczuciom niebożactwom, na stare lata. — Tu Adam usiłował zaplać nad zgorszeniem, panującym wśród wiekowych ludzi, ale mu to wyszło bardzo blado. Powtórzył tylko trzy razy: zmar... zmar... zmar... i dodał już bez większego zająknięcia, zmar...nowałem przy was swoją młodocianą kochankę. Z piekła za mnie nie wyjdziecie. Tyle włożyłem... Jak ten tyran harował... W te zagoniska... A teraz idź sobie na cześć wiatru.

— A kłóć ci każe iść ty ciężki bucyle. Co to, już ci się robić nie chce?

— Żebyście wiedzieli, że nie chce i nie będzie się chciało. Zostanie sam z swoimi (takim, owakim) realiem. Ja do niewoli z wami nie mię i rodziny swoi nie dom!

Mimo nieudanego wybuchu historii, Adam postawił na swoim. Wziął z tęsiową rozrąb na dobre. Ona zaś w kilka dni potem podpisała statut, a równocześnie zaślubiła na okolicę jako niewiasta niezwykle postępową, wręcz rewolucyjną.

Ale w zarządzić spółdzielni nastąpiło u krótkie ożnienie serc i umysłów. Całą sprawę zaczęto drobiazgowo rozstrzygać na zimno.

Po trzech nieprzespanych nocach, udat się przewodniczący Sozański od pierwszego członka zarządu, Czerwina, i przemówił do niego w sposób skąpy, ale wiele mówiący.

— No to jak uważacie z tą całą sprawą?

— Z jaką sprawą?

— Z tą, co ja myślę, a wy się dorozumiewacie.

— Aha, z tą? Tak jak i wy.

— To ja właśnie nie wiem.

— Ja też nie wiem.

— Faktycznie, to się weźmie bałast.

— Rzeczywiście. Babka giero, ale po części remanent nieużytkowy.

— Porobi jeszcze parę lat i próchno.

— Adam uciekł.

— Uciekł. Gdyby była co porządnego, to by nie uciekał.

— Trza to rozgryźć i rozpatrzyć.

— Hm.

Równie rzeczowe rozmowy przeprowadził jeszcze Sozański z innymi członkami zarządu, Samosięją i Gibasem. Następnie odbyło się zebranie w dniu 9. II, które w całej rozciągłości potwierdziło słuszność wyżej wspomnianych zastrzeżeń. Bohaterka nasza dumna z własnego kroku i sławna już na cały powiat, przeżyła na nim ponowny dramat. Z u-

rzędowych ust przedstawiciela PRN, usłyszała potwierdzenie owej morderczej decyzji.

— Spokojna głowa tabciu — oświadczył ów z humorem — szukajcie walutę na podatek gruntowy jako gospodarz indywidualny. Nie potrzebujecie iść do spółdzielni.

Zlamana powołała Radomską do swego wystudzonego ogniska rodzinnego. Sytuację, w jakiej się znalazła, malowała najdokładniej słowa sierocej piosenki, jaką zaczęła nucić.

„Pnie się do słonka lilija, lilija, a ja nieboga niczyja, niczyja.

Nie chce mnie przyjąć grumada, grumada,

już we mnie serce upada...”

Bohaterka nasza nie zalamala się jednak. Ponieważ po zięciu pozostały pewne zaległości w podatkach, a także trzeba było regulować bieżącą ratę gruntowego, Radomska zdecydowała się sprzedać maciore oraz jatówkę, aby zdobyć potrzebne fundusze. Częściowo własnymi siłami, częściowo zaś przy pomocy społecznej, dokonała siewów wiosennych i przystąpiła do sadzenia ziemniaków.

Gdy już była pewna co do swojego losu gospodyni, na smat jej pola, obitany indywidualnym żytem, uległa o świecie spółdzielca brygad.

Członek zarządu Czerw, jak kapłan szedł na przedzie i namaszczone ruchy wysiewał z torby coś na kształt mgły, lub kurzu.

— Lo Boga, lo Boga, rety! Radomko, spółdzielce okadzają wam pole. Cary jakiesi robio nad waszym żytem. Teraz was zmaruwo do reszty. Lo Boga, lo Boga, potrzeza to wam się było z niemi wagać!

Radomska była wprawdzie za trzeźwa na to, by słowa zelatorki od tercjarek, Puszczkowskiej, wziąć na dobrą wiarę, niemniej jednak zaniepokojona, udała się do Czerwina.

— No i cóż wy tu wyrabiacie?

— Jak to co? Słujemy „popiót”

— Nawóz? A kto wam kazal?

— Spółdzielnia.

— Przecież pole jest moje.

— Przecieżście zapisali do spółdzielni cały real.

— A co będzie za mną?

— Z wami? Tylko kłopot. Wyprzedaliście żyty „inwentarz” i jak można członka golomogora przyjmować. Cóż się tam zresztą z wami robi, ale tak, czy owak, nieużytkowy remanent i balast. Hm.

Ostatnie słowa wypowiedział Czerw z wysoką godnością i oddalił się na czele ekipy w obłokach potasowej soli.

Od tego momentu minęło wiele tygodni, a Franciszka Radomską żyje nadal w niepewności swojego losu.

Nie wie, czy jej pole i ona to jedno, czy też każde osobno. Czy jest już nareszcie rzeczywistym członkiem spółdzielni, czy też jeszcze nie jest.

„Wiedza się z zięciem poróżniłam, żeby wstąpić do spółdzielni, to mnie później wykreślił. Gdy jak mogłam obsiałam i należało, wszystkie grunty, „fajerkasy”, poręgułowałam, to się poniekąd spółdzielcom moje pole spodobało, ale ja, to już jestem do spodobania za stara. A powinności musiałam sprzedać jatówkę jak tania i maciore, bo mnie do tego dopuścili, a teraz: „bez inwentarza cię nie przyjmujemy...” Jedna krowa i trzy warchlaki, to im mało...”

I tak to moje własne życie zostało na stare lata zachachmęcone, zapłatane w węzeł, że już i lepiej nie potraza...

A przecież i ja się jeszcze w tej spółdzielni przydam i chleba darmo jeść nie będę. A czy to jest powiedziane, że mój zięć nie zmańdrze i nie wróci? Wec nasze spółdzielce „Wolność” z Koźminka, nie chcą tego zrozumieć. Więc ja bardzo proszę Szanowny Komitet, aby jem zechciał przetłumaczyć z polskiego na nasze...”

Zapewne, gdyby bohaterka nasza była odczytana w mitologii, mówiąc w liście do KP Partii obrazowo o zapłataniu jej życia w węzeł, nazwałaby ów węzeł gordyjskim. Była jednak na tyle uświadomiona, aby znaleźć najprostsza drogę do władzy. Zauważony problem jej członkostwa czeka na swojego Aleksandra, który by go rozwiązał jedynym śmiałym cięciem.

Pierwszym krokiem ku temu będzie wythumaczenie zarządowi zespołu „Wolność”, że ob. Radomska nie jest nieużytkowym remanentem ani balastem. Pole jej nie stanowiłoby porzuczonego. Zbliżają się zima, nie ma czasu na spory.

Bronisław Chęciński

KAZIMIERZ J. ZALEYSKI

NAJWESELSZY ŁOBUZ

(Zapisana gawęda)

LEŻEŁISMY na sianie obok szalasu skłonego z kółków, desek, płacht i siana. Parę kroków od nas Gabrysiak gotował na ogniku mięsny kamieniami ziemniaki i kiebasę dla nas na kolację. Takich jak my obozowało sześć tysięcy ludzi. Tyle bowiem przywalało z głębi kraju chłopów na sianokosy do nowogardzkiego powiatu, na tysiące hektarów nadodrzańskich łąk.

Wieczór był nad podziw piękny. Zarośnięte rzęsy i sitowiem kanały dymity białym oparem. Przez mgły wokół błyskały ogniki rozpalone przy szalaszach, niósły się od nich ludzkie głosy, a czasem konie zarżały. Jakiesi zabie „Mazowsze” produkowało się w bogatym programie uroczajowym występami solistów, którzy kumkali czkawkowym basem.

Zielniński leżał na boku i opowiadał o Gabrysiaku.

— Teraz to on poważny spółdzielca, ale kiedyś to był najweselejszy łobuz we wsi. Łazikować lubiał serdecznie, bardziej niż robotę, której też wiele nie miał na dwuhektarowej ojcówiznie, a innej przecież nie było w tych czasach, w których nawet wszy kaszali. Ale z piętnaście lat temu to my znaleźli robotę u jednego dziedzica, na sianokosach. Gabrysiak, ja i kilku chłopaków i dziewczyn z naszej wsi robiliśmy razem. Posłaliśmy na te łąki, a Gabrysiak nas furt buntuje — „Tylko pamiętajcie — powiedział — że robim na dniówkę. Dłużej robimy, więcej zarobimy”. No to my robimy, pomalutku i ruszamy się uroczyscie jak stare baby w procesji. Ale dziedzic — kutwa też pamiętał jak nam płacić, więc se z dziedziczka przyjechał linijka nas pilnować. Musieliśmy się wzięć rażniej do roboty bo dziedzic srogo łpał okiem i mówił jak nie kłótemu dniówkę wytracić. Siadł se on na pokosie, dziedziczka rozłożyła obrus biurowy i we dwoje śniadanie smakowicie rąba. Taka to głupia świnią była, siedział se i żarł na przednówku na oczach ludzi, które tylko haru-haru przy tym kiskowym marszu. Ale na psie kły kot ma pazury, a na dziedzica wymsyły ma chłop swój rozum. Gabrysiak szepnął to i tam i wrzeszczał, jakby żeż nie porodził: „M y s z!” Nasze dziewczuchy już

wiedziały o co idzie, więc w pisk i lament, że się niby tak boją, i drapają się na linijkę. Chłopaki zaś gonią po całej łące i widłami, grabiami i czym który miał trzepać po trawie z ogromną zawziętością. Sodomą i Gomorą. Dziedziczka też chce wliść na linijkę, ale ją dziewczuchy spychają, aż kłóśa konie zacięją, a te, że ostre były, z miejsca poniosły. Dziedziczka nie darowała, uciepła się linijką i latała za nią głupia, aż jej kiecka wiuwała i zadęła łyskał. Chłopaki się śmieją i dalej polują za myszą. A Gabrysiak jak się nie przyczaił i jak nie rąbnie styliskiem widel dziedziczka po płatuszach w sam najdelikatniejszy odcisk. Dziedzic, który patrzył się dotąd na komedie niemy jak wół, gdy go Gabrysiak przyolił, zarzywał straszny głosem i ubliżał zaczął Gabrysiakowi, Panu Bęgu i wszystkim św. tym, bo był to człowiek pobożny i w każdej chwili miał święte słowa na ustach. Gabrysiak zaczął go przeproszać i chciał mu nawet buty ściągnąć i rozetrzeć nogę, ale dziedzic odesłał nas wszystkich do diabła i z dziedziczka pojechali do dwora odpocząć. O to nam przecie chodziło. Siedliśmy, a huncwot Gabrysiak częstował nas



Kazimierz J. Zaleyski

Gazetka gminna

Wiekopomna zasługa

Tragedia dwóch gromad. Warmino i Wedzichów w powiecie Białogard, rozpoczęła się dołdnie dnia 10 kwietnia bieżącego roku. A przecież do prawdy — zapytajcie tylko aktywistów na polu oświaty — było do tego dnia zupełnie dobre. Żukwidowane analfabetyzmy, te najstraszniejsze ze wszystkich plag, podniosło się i rozszerzyło czytelnictwo, aż nagle owego 10 kwietnia...

Wróciła do domu córka Tracza, dała jej starą gazetę do poczytania, a mała ani by, ani me.

— Co się u Boga Ojca dzieje, czytała przecież nie gorzej niż ja? — to są słowa starego.

Jastrzębski, odkąd hodowle znacznie poszerzył i na przednówku wyszedł, bardzo się zajmował matematyką. Zadał synowi takie pytanie:

— 6 tuczników po 300 kg każdy i licząc oszczędnie, razy 10 złotych za każde kilo, to ile będzie dla naszej matki?

A chłopak ani w zab, taki ciemny, taki głab, ładny interes, specjalnego buchałera wypada teraz Jastrzębskiemu sobie zaufundować.

A co ma zrobić Gryga? Chłop się geograficznie interesował, wypytawał o miasta, zwiadył i ludzi. A chłopak zapomniał nawet, którego do Białogardu, a co mówić o Chłnicach, których Gryga ostatnio bardzo cenił.

No, a Jęczykowski? Tyle się po swoim chłopaku spodziewał, zaczął nawet razem pracować nad automatem, co by odwadniał, albo, jak trzeba, nawadniał łąkę. Aż tu nagle masz ci los! Dzieciak całą kalkulację gdzieś zrubił, przeczłone wyliczenia zrobić nie umi.

Dziś go żyje, lecz zawiał się na obłe gromady, skąd wtórny analfabetyzm z szkolnych dzieci?

Ludzie powiadają, że to nie zły los, tylko Powiatowy Wydział Oświaty, który pamiętnego dnia odwołał ze szkoły nauczycielkę i do tej pory nowej nie przydzielił. Wiekopomnie posunęli, nie ma co!

Boryzowy Mieczarz

Cudotwórca

W Białodolach Radwolskich, pow. Brzesko żyje pewien człowiek, którego można by uznać za cudotwórcę, takie czyni niezwykłość.

Zofia Niedojadło, średniaczka, zamieszkała w przelęgach chwili spory smat ziemniak, nie i podatków od ziemi właścicielka nie płaci. Zaczarował następnie tak skutecznie GRN, że chociaż Niedojadło od dwóch lat szarwarku nie odrabia, cieszy się taką opinią jakby go codziennie za całą wioskę odrażała.

Sprawy także bez większego trudu, że duże gospodarstwo Zofii Gasiorkowej w mglnictu oki skarłowaciało. Znalazł też odpowiednio obowiązkowi Gasiorkowej wobec państwa.

Widzimy z tego, co dotąd napisałem, że nasz czarodziej gustuje szczególnie w cudach z kobietami. Rzeczywiście tak jest. Ledwo się tylko z jaką żeldzie — cud jak z naczyniem dziwnego nabożeństwa. Pogada trochę po cichu ze składową GS, a już krzywa cna idzie w górę. Ten sam efekt daje jego tajemniczy uśmiech skierowany do znanej spekulantki Katarzyny Wawrzyniakowej.

Jezeli jakieś kobiety „alienawidzi”, to tylko proleje żony. Zmusiła natomiast do ucieczki swoją magiczną łąką.

Cudotwórca, prawda? Oj, byłby nim, byłby, gdyby nie to, że jest... sofysem. Czy oznacza to, że cała nasza historia pozabawiona jest cudowności? Skądże znów! A tolerowanie takiego sofyśa to nie czysty cud, nad którym patronat sprawują GRN w Wojniczu i PRN w Brzesku?

Piotr Pigwa



Kazimierz J. Zaleyski

Mistrzynie oszczędności

Badzmy sprawiedliwi, kierowniczka przedszkola w grom. Łajskie, pow. Nowy Dwór, ob. Kalinowska Stanisława i jej siostra — Intendentka, dzielnie pracowały na sławę mistrzyni oszczędności. Jeżeli można było mistrzyniom cokolwiek jedna gęba do żywienia mniej w przedszkolu. Oszczędność aż nadto oczywista. A kiedy zjechała kontrola, obie siostry zaoszczędziły kontrolerom rozmowy z członkami Komitetu Rodzicielskiego. Odbyły ja same, także „bardzo oszczędnie”.

„Za krytykę do kryminalu się jeszcze wpuścicie, zobaczycie” — tak by się po krótko dała streścić mowa siostr do chłopów.

Ludzie wlecy głąn ponoć z małych powodów. Tak przynajmniej utrzymują obie siostry. Napoleon przepadał z powodu bólu żołądka. A nasze siostry? Przecież taki drobiaz, że w gromadzie żyła mało i średniotłuchi chłopi. Ci niczego obu Kalinowskim nie zapomnieli i postanowili nie oszczędzać. Zwyczymi im powodzenia u powiatowych władz. Nie łatwo tam powodzenie uzyskać. Przecież wspomniana kontrola te właśnie władze przysłała.

Jan Wichura

Wielka figura — nie szpilka

Nawet zwykły człowiek — nie szpilka, łatwo nie zaginie, a co dopiero urzędowa figura. Toteż wyobraźcie sobie chybą, jakie straszliwe podniecenie zapanowało na terenie gminy Górki, pow. Siedlice, Zginął tam przewodniczący GRN, ob. Zawadzki! Taki zwykły człowiek przepadał jak kamień w wodę! Ostatni raz widziano go w gromadzie Czerbaki. Płatał się po niej niepewnie, akurat tak sartał jak sartał Sikorski, zapadł w dziurę od dawna nie reperowanej drogi, upadł w rowy od lat nie czyszczone, aż wreszcie Zawadzki stracił się gdzieś i tyle. A stało się to akurat wtedy, gdy gminy „laureata” kandydował, że zjechała właśnie wojewódzka kontrola. No i nie ma „figury”, a chłopci przecież dopiero co słyszeli jego słowa: „Sikorska! Kuchany, nikt cię z sołectwa nie zdejmie, jeszcze na jedną nockę, rzucę we mnie tą rybka-pipką!”

Wraz z przewodniczącym zawieruszyły się gdzieś i pieniąże podatkowe. Sikorski długo i zawile tłumaczył pełnomocnikowi wojewódzkiemu, że w pewnym miejscu, tuż koło jego chlewika,

rozstąpiła się nagle ziemia i pochłonęła nieszczonego sternika gminy.

I na tym by się skończyło, ktoś bowiem ze zwykłych śmiertelników chciałby zgłębiać nadprzyrodzone tajemnice, gdyby nie warchłaki Sikorskiego. Zięty się ludzi, skoczył do chlewika i nagle z piskiem zawrócił. Wystraszyła się niezwykła postać, w której nie bez trudu rozpoznano Zawadzkiego. No więc jęknął znalazł się.

Ten wypadek, dosyć prosty, miał jednak niesłychane konsekwencje. Wraz z nim zniknęła się bowiem uchwała gromady, która zdecydowanie potępiała działalność sołtysa Sikorskiego. Sikorski znikł, znalazł się natomiast w jego miejsce dzielną chłop Jaszczuk. Tylko Zawadzki w żaden sposób zniknąć nie chce. Za wielką podobno na to figura. A szkoda, są w Czerbakach tacy chłopci, którzy chcą, by się przewodniczący w szpilke zmienił i zaginął. Są i tacy, którzy gotowi są zgodzić na to, by się ziemia pod nim naprawdę koło chlewika rozstąpiła.

Jan Biegala

Strzeżcie się buhaja!

Stara legenda głosi, że w każdej noc noworoczna wszelka gadzina mówi ludzkiem głosem. Zdarza się ponoć jednak odstępstwa od tej zasady. Kiedyś również w innych, a szczególnie ważnych okolicznościach, zwierzęta posługują się mową ludzką. Taki właśnie wypadek miał miejsce któregoś z ostatnich nocy w spółdzielni produkcyjnej Wodzierady pow. łaskiego. O północy, jak nakazuje tradycja, zabrala gosa holenderska łąkowska.

Muuu... co za potworny ból łał!... Po prostu rogów nie czuje.

— I mnie reumatyzm wlaź w przednie racice — zabuczała płaczliwie łaciata sąsiadka.

— A mnie znowu w grzbiecie łamie — wtracił rasowy buhaj. — Kiedy oni wreszcie ten dach naprawią? Przecież tak daleko być nie może...

Woda nam się na ty byle leje — podchwycyła skwapliwie holenderka — a sprawa remontu naszej obory jak leżała, tak i leży. I jak ty w takich warunkach plan produkcji mleka wykonasz? Jak?

Sapnąć i pobrzeżkują groźnie łaciuchem, rasowy buhaj rzucił ze złością:

— Och, żebym ja dostał na rogi tych biurokratów z Rejonu Przemysłu Leśnego w Sulechowie...

Redaktor naukowy — JAN ALEKSANDER KROI.

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 8-00-81 Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.

Tel.: Red. Nacz. 883-85 Tel.: Redakcji 8701, wewnętrzny 5, 73, 8

W a r u n k i p r e n u m e r a c y j n e: mjes. — 4,60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,00 zł, rocznie — 55,20 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5 4-B-18004

WSPÓŁCZESNE KRAJOBRAZY

ANDRZEJ STUR

Kolorystyka Podhala

MALARZU, który ustawiał sztalugi w r. 1950, w pierwszym roku 6-letniego Planu w nowotarskich dolinach, gdzieś w Czarnym Dunajcu, Ludźmierzu, Wróblówce, Nidzicy — przybądź tu ponownie, kiedy podhalańskie wsie stoją w pełnej krasie polowy lata. Przybądź, a ku swemu zdziwieniu stwierdzisz, że na twoim płótnie ten sam dołstownie krajobraz sprzed lat przemieniono nowe życie

W r. 1953 będziesz musiał partię zieleni poszerzyć o 30 proc. O 30 bowiem procent zwiększyła się w nowotarskim powiecie powierzchnia nowych łąk, zasianych szlachetnymi trawami i podnoszącymi, jak oceniają fachowcy, co najmniej o 8000 ton zbiór siana w Nowotarskim.

Malarzu-realisto, będziesz również musiał jakoś uchwycić różnicę między dawniejszą a obecną kolorystyką pól zbożowych i ziemniaczanych. Agromomowie jeszcze przed kilku laty łamali ręce nad zachwaszczaniem; mało który powiat u kraju był tak dalece ofiarny ognichy i ostu, jak właśnie Nowotarskie. I ta specyfika obrazu pół rzuciła się w oczy zaraz po wejściu w granice powiatu. Chłopi podhalańscy straszliwie się zrazu, gdy im to wytłumakano: „e, nie wydziwiałaj, oset to je nasienie diabelskie i tego nie wygubi”.

Alle już dziś tak gęste przedtem śniegi ostów, wydających puszyste nasiona i jajecznice ognichy pozostawiają, malarzu, zadając kłam tajemniczej odporności tych chwastów.

Radykalnym sposobem na „diabelskie nasienie” okazały się zwykłe podorywki późnionowe, który to fachowy termin, tak dobrze poznali zecerzy gazet, składając corocznie pod koniec czerwca uchwałę przydziału rządu w sprawie akcji zniwowej. Zecerzy składali swoje kolumny a potem górale, czoje gęsto psioząc, że się im wleci dziurę w brzuchu o takie różności co jeszcze nie były, ładowali jednakże pluzki na wozy i wyciągali na ścierniska. W r. 1950 wykonano w powiecie nowotarskim 2000 ha podorywek, w 1951 już 6000, w 1952 10000, a plan 12000 ha na rok 1953 będzie według wszelkich szans przekroczony. Są już gromady jak Czorsztyn, Łopuszna, Czarny Dunajec, które nie zostawiają ani jednego ara niepodorowanego.

Malarzu-realisto! Przeobraża się krajobraz. Twoim obowiązkiem odzwierciedlić tę przemianę. Ale jeszcze większym, oddać historyczny sens tego nowego pejzażu. Opowiedz nam woimi, malarzkimi środkami, o nowej kulturze górali, o rewolucji na Podhalu.

STEFAN LOS

Panorama Lubiąża

CIAĞNAŁ tedy w XI w. mnich francuski, aby kaptur zakonny zamienić na ponętniejszą ozdobę głowy — polską koronę królewską. Podążył za nim spory poczeki dotychczasowych jego konfratrów, benedyktynów, którzy słusznie sądzili, że brat Kazimierz godnie i hojnie swą dotychczasową misję, a dziś królewską dłoń ich zaopatry. I nie omiły się. W pięknym i bogatym zakątku Śląska, w tuku Odry między Głogowem a Wrocławiem, na zgłiszczach, jak głosi podanie, dawniej gontyni pogańskich, zbudował im piękny klasztor, no i, jak należało przypuszczać, dodał do tego obszernie włości, aby im bieda nie doskwierała.

A działo się to akurat 900 lat temu w roku 1053.

Historia przydała królowi miano Odnowiciela, miłoścowo zwanego Lubiąż (czasem Lubusza).

Benedyktynom nieźle się tu wiodło, a gdy po nich nastali gospodarze Cystersi, majątki powiększyły się znacznie, nawet odległą puszcę Nakleńską wyludził bradyszkowie od księcia kaliskiego Władysława Odnowiciela, zwanego brzydkiem, ale chyba nie bez powodu, Płuczem.

Cystersi to właśnie zagospodarowali klasztor, który, choć kilkakrotnie łupiony, rozbudowywał i przebudowywał się coraz piękniej, aż do tego stanu w jakim go dziś widzimy.